

ROCZNIK I. 1868. **ZESZYT III.**

BEZIMIENNA.

POWIEŚĆ Z KOŃCA XVIII. WIEKU.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

XXIII.

Betina miała naówczas wszystkie warunki, które się jej o najwyższą posadę ubiegać dozwalały — młodość, świeżość, piękność niepospolitą, charakterystyczną, włoską, przypominającą Transteweranki, wychowanie staranne, głos piękny, wprawę muzykalną, dowcip i śmiałość rozpieszczonego dziécięcia.

Od najpierwszej młodości oswojona ze dworem, z panami, z otoczeniem królewskiem — nasłuchała się wcześnie tego, co wszelki z tych postaci, czarownych dla tłumu urok zdjąć mogło. — Nie dziwiła się niczemu, śmiała ze wszystkich… Znała ich ułomności aż nadto dobrze, dla niej byli to bardzo prości śmiertelnicy… Zdrada i gorycz, którą ona wlała w jej serce, spotęgowały jeszcze wzgardę dla ludzi. Dwa lata żyjąc z Wojewodzicem, przez niego wtajemniczoną została w kronikę skandaliczną Warszawy... kobiéty więc także wielkiego świata znajdowała nie lepszemi nad siebie i czuła się im równą — język miała nielitościwy jak serce. Ten sceptycyzm, niewiara, wzgarda przy uroku młodości, świeżości, wdzięku..! dla ludzi zepsutych były czarem nowym, dawały jej oryginalność porywającą. Obawiano się jej, a pociągała ku sobie… chłostając ironją jątrzyła… Dowcipne jej słowa lub tworzone na jej rachunek dowcipy, obiegały Warszawę i przez najwyższe towarzystwo podawane były do ucha. Często bowiem głośno ich nawet w tym czasie tolerancyi powtórzyć było trudno.

W kilka miesięcy po zdradzie Wojewodzica, zręczna kobiéta nie tylko że odzyskała dawne swoje znaczenie, ale się stała istotą modną, poszukiwaną, za którą cisnęły się tłumy, o której łaski dobijali się starzy i młodzi niosąc garście pełne złota, kieszenie wypchane klejnotami… wszystkie dary wschodu i zachodu… Dla jej kaprysu posyłano sztafety po perfumy do Paryża, a po suche konfitury do Włoch.

Budziła taką ciekawość, że słysząc o niej, najsłynniejsze ówczesne piękności stanisławowskiego dworu… poprzebiérane cisnęły się, aby ją widzieć z bliska, mówić z nią i wynieść z jej ust jedno z tych słówek ostrych, które zostawiało po sobie nieuleczoną bliznę. Słowem była to Ninon w swoim rodzaju.

Wiedziała wszakże dobrze przebiegła istota, iż wziętość nie jest nieśmiertelną, młodość nie wieczną, moda nie stałą, a starość bywa smutną.

Wcześnie więc postanowiła radzić na to; przy pozorach świetnych stała się skąpą i chciwą… gromadziła pieniądz z zajadłością jakąś dziwną. Pozostałe resztki spadku po ojcu potrafiła wyrwać procesem z rąk jakichś spekulantów. Spieniężała klejnoty… frymarczyła sukniami… ograniczyła swe potrzeby…

Drugą monomanją jej stało się zamążpójście, któreby dało imię, oczyściło przeszłość i zabezpieczyło przyszłość...

Nie było ono łatwem, ale Betina z cynizmem sobie właściwym doprowadziła je do skutku. Historja tego mał-

żeństwa została do dziś dnia w tych tradycjach stanisławowskich, które dobrze malują rozpasaną epokę i stolicę, całym wiekiem rozpusty oddzieloną od poczciwego kraju, od cichej a starej wsi polskiej.

W pewnych chwilach, powołujących do stolicy liczne zastępy wiejskiej szlachty, napływała ona do Warszawy z niedoświadczeniem, naiwnością, dobrą wiarą, które ją na dziwne czasem narażały zawody. Wieśniak nie zrozumiał i zrozumieć nie mógł, ani społeczeństwa tego, ani jego podziału, ani postaci, które mu się tu nastręczały. Dworacy mistyfikowali krwawo nieszczęśliwych. Wprowadzano ich nieraz do domów wcale nie szanownych, i przedstawiano osobom, odgrywającym dla nich rolę kobiet wielkiego świata. Nie jeden dał się wziąć na to i srogo swą dobroduszność przepłacił; ale nikt okrutniej nie został złapany nad Starościca Odrzygalskiego, który jako żyw pierwszy raz ze wsi przybywszy do stolicy, wpadł w ręce najrozpasańszej młodzieży. Niedoświadczony, łatwowierny, majętny bardzo, gdyż świeżo po zmarłym ojcu znaczny odziedziczył majątek, Starościc na pierwsze wejrzenie zakochał się śmiertelnie w Betinie. Wprowadzono go do jej domu uprzedzając, że to była wdowa bardzo zacna i bogata... Odrzygalski przez zręczną kobiétę uwikłany rychło w sieci, oświadczył się o jej rękę; obawiając się familii, rozgłosu, przeszkod niespodzianych, upojono go jednego wieczora i dano mu ślub na prędce...

Wkrótce jednak prawda cała, straszna wyszła na jaw, młody człowiek ochłonął, rozwinął się proces skandaliczny. Betina wszakże tak zręcznie ułożyła była wszystko, małżeństwo zawarte tak się zdawało ważnem, a protekcye jej tak silne, że nieszczęśliwy mąż rozwód okupić musiał grubo... a Betinie zostawił swe nazwisko i pamiątkę, że komuś zaślubioną była...

Odrzygalski zmarł poźniej na wsi, rozwódka nosiła po nim żałobę, i wspominała z uczuciem jako o nieboszczyku mężu...

Ten epizod jej życia bardzo głośny zrazu, tłumaczony różnie, był epoką, od której zmieniła nieco postępowanie. Spoważniała i weszła w kategoryę tych pań, które nie będąc szanowane, same się nieco szanowały.

Powierzchownie tylko jednak pani Odrzygalska oblokła się pewną powagą; zakulisowe intrygi trwały jak wprzódy, a zbogacenie latwe chciwszą ją tylko uczyniło. Nikt nie mógł dobrze wiedzieć, co miała, szeptano wszakże, iż u Teppera złożyła kilkanaście tysięcy czerwonych złotych...

Przewidywała starość nie darmo! Młodość i wdzięk w gorączkowem życiu przechodzą bardzo prędko, a choćby serce było ostygłe, choćby dusza była uspioną, nuży sama ironja żywota. Są godziny postrachu, przeczucia, przyszłości czarnej. Temi pokutnemi momentami starzeje nagle szaleństwo... grzybieją szaleńcy.

Jedna noc snów strasznych obiela włosy — jeden poranek łez wyrzeźbia marszczki pod oczyma...

Już w czasie pobytu Ksawerowej w Warszawie, Betina widocznie więdnąć i starzeć zaczęła; nabrała dużo ciała, straciła świeżość, a choć wdzięki swe umiała sztuką zachowywać i dopełniać — nie była to owa śliczna Włoszka, co czarowała jednem wejrzeniem. Utrzymywały ją dawna sława i dowcip wielki... Grono przyjaciół i wielbicieli otaczało jeszcze... z przerażeniem jednak uważała, iż gwałtownych jak dawniej nie obudzała już namiętności; szli do niej z nałogu ludzie na wieczory, przez próżnowanie i ciekawość. — Towarzystwo się nieco zmieniło teraz; stosunki nowe zbliżyły ją szczególniej do napływających na Warszawę coraz obficiej Moskali, dyplomatów i wojskowych. Dla tych ludzi była ona nęcącą nowością... miała wielkie podobieństwo do dam dworu ich ojczyzny... toż samo ukształcenie, ten sam cynizm... a większą daleko łatwość w obejściu i więcej dowcipu. Moskale uwielbiali Betinę. Nabyła nowej sławy i rozgłosu między młodzieżą i starszymi członkami wszechmocnej ambasady, tak iż weszło w modę bywać u niej na wieczorach, na grze... i trochę się kochać...

Betina nie miała nigdy ani pojęcia żadnych obowiązków względem kraju, ani przywiązania do niego. Ludzie, z którymi całe spędziła życie, należeli właśnie do tej zgrai zaprzedanych, pijanych wiecznym szałem wesela głupiego, niepojmujących, by coś ojczyźnie poświęcić można. Oni z jej wnętrzności przywykli byli ciągnąć dochody. Za pieniądze ambasady moskiewskiej sprawiali orgje, a patryotyzm zwali po prostu barbarzyństwem i głupotą.

Dom Betiny służył za grunt neutralny, na którym spotykali się ci, co kupić myśleli, i ci co sprzedać się chcieli. Schodzono się na narady, układano zdradę i przedajność, przynoszono wiadomości... wyprawiano ajentów, słowem była to ambasady filia tajemna... Gospodyni znajdowała bardzo naturalném, służyć swym dobrym przyjaciołom, którzy się też jej za to sowicie wywdzięczali.

XXIV.

Pani Ksawerowa nie wiedziała ani części tych smutnych dziejów kobiety, którą oddawna siostrą nazywać przestała; pani Odrzygalska też nadto była dumną, zagniewaną, a wreszcie zaprzątnioną, żeby szukała ubogich krewnych i napraszała się stosunków z nimi. Od lat wielu nie wiedziały już o sobie.

Bolało wszakże Betinę, że najbliższa jej krewna odsunęła się od niej, nie przyznawała się do tego, ale czuła obrażoną. Od obrazy w takiem sercu do żądzy pomszczenia się nigdy nie jest daleko.

W najprzykrzejszém teraz zostając położeniu, bez pomocy i przyjaciół, Ksawerowa nie pomyślała nawet o zbli-

żeniu się do siostry, której imię z przestrachem wspominała…

Wiedziała głucho, że poszła była za mąż, że owdowiała, i że ją zwano teraz pod imieniem uzurpowaném Starościnej Odrzygalskiej. Tytuł ten rzucony na szyderstwo, utarł się i został jej przyznanym… Starzy tylko znajomi niekiedy mianowali ją jak dawniej Betiną.

Dziwnym wypadkiem Starościna, która długi czas zajmowała mieszkanie na Krakowskiem przedmieściu, za poradą swych przyjaciół z ambasady przeniosła się na Bielańską ulicę, gdzie nie tak bardzo była na widoku. Mieszkała teraz na pierwszém piętrze domu, którego niegdyś drugie zajmowała Ksawerowa, a teraz schronioną była w ciemnym jego kącie. Z wielkiem podziwieniem we wrotach, zdala, spotkały się siostry; Ksawerowa poznała starościnę, Odrzygalska przypomniała ją sobie, spojrzały na siebie zdala, a wdowa co najprędzej zeszła z oczów Betiny. Na Ksawerowej to przypadkowe zetknięcie się ze strojną panią siostrą uczyniło nad wszelki wyraz bolesne wrażenie; spłakała się po cichu, nic o tém nie mówiąc Helenie, i zburzona postanowiła unikać nawet chwilowego zbliżenia się. Rada była wynieść się z tego domu, z pod tego dachu, tak się obawiała zepsutej kobiéty; przychodziło jej na myśl, że piękność Heleny oczy Starościnej zwrócić może, że ta blizkość w chwili rozpaczy ją samą na pokusę wyciągnięcia ręki do siostry narazi — a czuła w duszy wstręt od niej i wzgardę, choć i w części nie wiedziała, jak dalece na nie zasługiwała.

Ale niepodobieństwem było się wynieść nie mogąc ani zaległości zapłacić, ani nowego nająć mieszkania.

Hela widziała jej łzy i niepokój, ale się nie domyślała przyczyny, stan zdrowia Julki aż nadto je tłumaczył... Ksawerowa zaś mówić nawet o tém nie życzyła sobie.

To milczenie było powodem, że Hela, która nieustannie szukała zajęcia a znaleść go nie mogła, tając się przed Ksawerową, wpadła na myśl, udania się z robotą jakąś haftarską do bogatej Starościnej, mieszkającej na pierwszém piętrze… Znano ją w domu jako elegantkę, Hela parę razy spotykała ją strojną w bramie, chciała spróbować, czy wypłakanych tych haftów spieniężyć nie potrafi.

Starościna znała już Helę, piękność jej uderzyła ją, pytała o nią i dowiedziała się, że jest córką Ksawerowej. Tak ją powszechnie zwano, a zerwane dawno stosunki obu sióstr nie dozwalały wiedzieć o rodzinie… Betina sądziła, że jest jej siostrzenicą.

Jednego poranka Hela wcisnęła się drząca, onieśmielona, w ubogiem swém ubraniu, do przedpokoju Starościnej… Wpuszczono ją do pani…

XXV.

Betina stała jeszcze przed wielkiem źwierciadłem, kończąc strój ranny i przypatrując się twarzy, której dawna piękność zmieniała się z dniem każdym, rozpływając w coraz mniej foremne kształty — gdy źwierciadło ukazało jej z tyłu, stojącą przy progu… siostrzenicę… Poznała ją od razu, nieopisane uczucie zadowolnienia zarumieniło jej twarz… zwróciła się powoli przypatrując dziewczynie, by odgadnąć, czy ona wie, do kogo przychodzi, czy to jest krokiem upokorzenia i przejednania lub — wypadkiem.

Ale w spokojnej, wypogodzonej choć nieco onieśmielonej twarzy Heli, której nadzwyczajna piękność jeszcze ją teraz bardziej uderzyła — nie znalazła śladu ani zbytniej pokory, ani pomieszania. Młode dziewczę nie wspominając wcale kim było, odezwało się z kilką słowy skromnemi, pokazując swą robotę… i prosząc o jakiekolwiek zatrudnienie.

Betina też udała, że jej wcale nie zna i nic się nie domyśla — zrozumiawszy, iż matka Ksawerowa pewnie o niej córce nic mówić nie mogła… odwróciła się więc jak do obcej.

Opatrzyła robotę, poczęła się rozpytywać Heli o zajęcie, mieszkanie, położenie, a z odpowiedzi przekonała się mocniej jeszcze, iż dziewczynie jest całkiem nieznajomą. Przypadek… fatalność, czy sprawiedliwość rzucały jej w ręce… łatwą zemstę… Uśmiechnęła się w duchu… Hela była dosyć szczérą, nie mówiąc nazwiska, starała się ją rozczulić obrazem ubóstwa, które ją do tego kroku zmuszało. Dodała, że to czyni bez wiedzy matki…

— Jeśliby pani była tak łaskawą zażądać odemnie roboty — zakończyła — prosiłabym, aby po mnie nie przysyłać do matki… nie chcę ażeby wiedziała, że się tak narzucać muszę. Jesteśmy chwilowo zapewne tylko — bardzo biedne, mamy chore dziecię w domu, siostrzyczkę moją... trudno nam wystarczyć na jej potrzeby… Chciałabym matce dopomódz.

— Masz waćpanna i siostrę? — spytała Betina…

— Tak pani, miłe, kochane, śliczne, dwunastoletnie dziecię. Jabym za nią życie oddała… a matka ją tak kocha!

Starościna w ciągu rozmowy wpatrując się pilnie w Helenę, uznała za właściwe ukazać się uprzejmą, przystępną, miłą, kupiła hafty, zamówiła ich więcej, dała kilka dukatów, próbowała obudzić ku sobie współczucie, co jej się zresztą całkowicie udało. Nawykła do czarowania ludzi, łatwo niedoświadczoną ujęła dziewczynę, której niespodzianie w pomoc przyszła. Dla niej wyobrażała ona w tej chwili — opatrzność.

Hela uszczęśliwiona nie poczuła nawet fałszu w słowach, w głosie, w uśmiechu, w postawie czegoś nienaturalnego i wymuszonego, coby ją może kiedy indziej uderzyło… Oślepiona zarobkiem, była ufną i zachwyconą wszystkiem. Starościna zdała się jej najmilszą i najzacniejszą osobą.

W sercu niepoczciwej Betiny dziwne uczucie zemsty... chęć odpłacenia siostrze jej wzgardy — rodziło się i rosło

gwałtownie... Śmiała się zawczasu z tego, co wyrządzić jej mogła...

Ta cnota w łachmanach, unikająca jej całe życie z cichym wstrętem... napełniała ją gniewem... ale przychodziła chwila, w której nareszcie oddać mogła sowicie wyrodnej (jak ją nazywała) siostrze...

Hela była cudownie piękną, ubogą i nieszczęśliwą, wciągnąć ją tak było łatwo — nastręczyć jej sposobność do upadku, wystawić na pukusę... tak się jej zdawało usprawiedliwionem i naturalnem.

— Maż być lepszą odemnie! — mówiła w duchu... prędzej czy poźniej spotka ją to zawsze.

Wszystkie istoty upadłe radeby za sobą pociągnąć te, które u brzegu zostały, ich cnota je potępia... chciałyby świat skalać, aby się mniej brudnemi wydawały wśród niego. Jest to w naturze grzéchu i szatana.

XXVI.

Gdy drzwi zamknęły się za Helą, która w uniesieniu poczciwej radości przemykała się co prędzej — nie chcąc być postrzeżoną — do łóżeczka Julusi — Starościna padła w krzesło klaszcząc w dłonie i śmiejąc się sama do siebie... Oczy jej dzikim ogniem świeciły... w sercu rosła stłumiona do siostry nienawiść... Zawczasu układała plany, jakby Helę mogła ku sobie pociągnąć i wprowadzić ją w swoje towarzystwo, z którego objęć wyjść nie było można bezkarnie; — zawczasu wystawiała sobie Ksawerowę płaczącą, rozpaczającą, a siebie z dumą odpowiadającą na wyrzuty: — Cóżem ja winna! Gardziłaś mną, i twoje dziecię nie jest lepszém...

Zrozumiała to bardzo dobrze, iż postępować musiała z nadzwyczajną ostrożnością, aby tego pierzchliwego ptaszka nie spłoszyć... a naprzód by go ośmielić, oswoić, obudzić zaufanie, spoufalić z sobą. W nędzy i opuszczeniu jakże to łatwo! gdy ktoś z uśmiechem współczucia przychodzi...

Starościna jak wszyscy niegodziwi, rachowała wiele na nędzę, na miłość Heli dla siostry i matki, na słabość znużonej istoty, na młodość i niedoświadczenie... Dogadzało jej też bardzo, że piękną, młodą twarzyczką rozświeci salon... i posadzi ją w nim jak przynętę. Szło tylko o to, aby się wszystko w ciszy i tajemnicy przed Ksawerową odbyć mogło.

Lecz rzućmy zasłonę na poczwarne te marzenia... które — niestety — tak rychło w rzeczywistość zmienić się miały. Rachunek na słabość człowieka rzadko zawodzi...

XXVII.

Zima płynęła powoli, ociężalej, niżeliby opuszczone, nieszczęśliwe kobiéty mogły życzyć sobie, wyglądając z tą wiosną leniwą — przybycia swojego opiekuna i ratunku...

Tymczasem stosunki Heli ze Starościną, zawsze dla pani Ksawerowej będące tajemnicą, trwały ciągle, a z dniem każdym stawały się poufalsze.

Biédne dziewczę nie przeczuwało wcale, w jak niebezpieczne biegło sidła, gdyż zręczna Betina umiała przed nią doskonale odgrywać rolę wdowią i nadać sobie charakter poważny.

Zbliżywszy dopiero Helę, ośmieliwszy ją, wychodzić poczęła czasem z tej roli, przybierać weselszą minę i w żartach próbować sarkazmu, ironii, pogardy ludzi, naśmiewania się z czułości ich, z serca... i t. p. Postrzegła jednak, że ta struna nie znajdowała oddźwięku w młodej duszy, że ją napełniała trwogą raczej niż ciekawością, jaką się spotkać spodziewała...

Postępowała więc z ostrożnością wielką, i jak ci pokutnicy dawni, co dwa kroki posuwając się naprzód — krok w tył się potem cofali, po ironii wracała do surowej powagi, rachując dobrze, iż słowo nie ginie nigdy, że każde wywiera wrażenie, zostawuje po sobie piętno, wyciska się na młodej duszy. Nawet to co rani boleśnie z początku, co jak blizna się zasklepia... na wieki szramę zostawia.

Gdy tylko Hela przyjść do niej mogła, zapraszała ją pod pozorem samotności z robotą do siebie; udawała dla niej sympatję wielką, przyjaźń, karmiła ją opowiadaniami układanemi umyślnie tak, aby ją z nieuchronnem świata zepsuciem oswajać mogły.

Wychowana w cale innych pojęciach, gdyż pani Ksawerowa była surową i w świecie widziała tylko cnotę jako prawidło, a grzech jako nieszczęście — Hela zaraz w początku obawę jakąś poczuła do tej kobiéty, która z taką obojętnością mówiła o wypadkach, dla niej wydających się straszliwemi przestępstwy... ale musiała milczeć, pokryć wstręt swój i trwogę, bo pani Starościna dopomagała jej wiele, dostarczała roboty, zasilała datkami i utrzymywała w zawisłości.

Zstąpić w głąb myśli i sumienia tej kobiéty płochej i mściwej, znudzonej życiem i spragnionej intrygi — obrachować co ją pociągało ku Heli, czy chęć pomszczenia się na siostrze, czy jakaś fantazja złośliwa — jest zadaniem zbyt trudnem. Mieszały się tam zapewne wszystkie te powody razem, a ona sama dobrze sobie z nich nie zdawała sprawy. Gdy wdowa siedziała przykuta do łoża córeczki chorej, Hela musiała zaspokajając domagania się nieustanne Starościnej, zbiegać do niej pod różnemi pozorami i przesiadywać, zatrzymywana uparcie, pieszczotami i pochlebstwy obsypywana.

Czuła pani Ksawerowa, że jakiejś tajemniczej pomocy winną była choć niewielką ulgę w swym losie; zapytywała o to Heli, ale ta zbywała ją ogólnikami, że znalazła robotę łatwą, i prosiła, aby się o to nie troszczyła.

Uściskały się potem ze łzami, a biédna wdowa nie

śmiała dopytywać więcej, ale słów nie miała na wyrażenie swej wdzięczności Helenie.

Smutna twarz Heli, jej pogrążenie i niepokój, ustąpiły powoli pod wpływem tego tajemniczego stosunku, nieco weselszemu usposobieniu, nadziei... Piękność jej rozkwitała w całym blasku, a choć jej nie podnosił ani ubior wykwintny, ani najmniejsza zalotność — była przecie uderzającą — bo była nie tą pospolitą pięknością lat młodych, ale jakby znamieniem duszy pięknej.

Miała w sobie coś tak szlachetnego, dumnego prawie a zarazem wdzięcznego, iż nieraz ludzie obcy w ulicy ustępywali z drogi przed jej perkalikową sukienką z poszanowaniem, jakby przed najświetniejszemi aksamitami. Ten blask młodości niewinnej, ten dziewiczy majestat i spokój duszy, malujący się na jej obliczu — obudzał szczególniej zazdrość w Betinie... która się przy niej czuła pospolitą i niższą istotą.

— Taką bym ja być mogła!— mówiła czasem... taką byłam... a teraz...

Ale to ta nieszczęsna starość...

A! i to życie... dodawała w duchu.

XXVIII.

Do najlepszych przyjaciół pani Starościnej Odrzygalskiej należał od roku już przeszło, mieszkający w Warszawie młody jenerał moskiewski, Dymitr Wasyljewicz Puzonów. Był on przysłany w pomoc Igelstromowi na własne jego żądanie, z Petersburga, z kollegium spraw zagranicznych —krewny jego daleki, w istocie wyprosił sobie u niego to przeniesienie do obcej stolicy, mając nadzieję i większej swobody i prędszego awansu, do którego kuzyn go łatwo mógł pod różnemi pozorami przedstawiać. Był też to usłużny przyjaciel posła, jego powiernik, prawa ręka, pomocnik, na którym spoczywała tajemna policja ambasady, chociaż jawnie spełniał tylko funkcję adjutanta i zdawał się zajmować wojskowością.



Dymitr Wasyljewicz Puzonów. (str. 77.)

Dymitr Wasiljewicz należał do starej rodziny bojarskiej, przez rozmaite dworskie posługi za czasów cesarzowej Elżbiety i Birenowszczyzny, przez małżeństwa i dary z konfiskat pochodzące — ostatniemi laty zbogaconej. Cała ta fortuna składała się z majątków pozabieranych tym, którym wydzierano nozdrza, sieczono i zsyłano na Sybir, aby nie zawadzali; nie przeszkadzało to Puzonowym używać jej bez zgryzoty sumienia. Pojęcia o własności w Moskwie są cale różne od europejskich.

Puzonów miał powierzchowność przyzwoitą, wzrost bujny, plecy szerokie, twarz miłą choć nieco tygrysio-kocią (typ większej części Moskali) bez wielkiego wyrazu, obejście się z niezależnymi niezmiernie grzeczne, ale z podwładnymi dzikie, dumne i barbarzyńskie.

Serca w nim nie było, tak je wczesne zepsucie uspiło i skamieniło.

Wychowanie odebrał takie, jakie naówczas dawano, jakie dziś jeszcze dają moskiewskim paniczom, przeznaczonym na wyższe posady w wojsku, w dyplomacji, u dworu. Naprzód zrobiono z niego żołnierzyka, aby całe życie coś pozostało w nim sołdackiego; potem na wierzch oblepiono to francuzczyzną i ogładzono polorem niby europejskim. Szło bardzo matce o to, aby dobrze szczebiotał po francuzku, i żeby się w nim tygrysio-koci sprycik rozwinął.

Z naukami obznajomiono go tylko powierzchownie, po troszę, o ile wymagała konieczność; wojskowość potrzebowała nieco matematyki, salon nieco literatury, dyplomacja trochę historyi, dano mu ich mierząc dozę koniecznością. — W ogóle w Moskwie naówczas zadowolniano się bardzo małem. Dwór carowej Katarzyny składał się w większej części z ludzi, chwyconych często z klas najniższych, z szeregów prostego żołdactwa... a jednak trochę obmyte i uczesane, nieco poduczone szczebiotania jak papugi—wszystko to starczyło wysoko wykształconej literatce, przyjaciółce Voltaira, Semiramidzie północy... na utworzenie bardzo świetnej falangi...

Młodych też ludzi nie obarczano zbytnio, szło głównie o to, aby sobie w świecie rady dać mogli... na to starczyły francuzczyzna i pewna ogłada powierzchowna.

Wszyscy znajdowali, że Dymitr Wasiljewicz udał się szczęśliwie... W istocie chłopak był sprytny, połowę tego co umiał odgadnął, a z instynktem barbarzyńca czego nie umiał, omijał nader zręcznie, tak, że się na grubej nieświadomości nigdy pochwycić nie dał. W Moskwie uchodził za bardzo uczonego, w istocie był zuchwałym niepopolicie. Zawczasu przez frejliny popsuty pieszczotami nim

dorosnął, wcześnie rozczarowany, zimny, Puzonów dochodząc trzydziestego roku życia miał już tylko ambicyę ogromną, upodobanie w zbytku azyatyckie... i czasem fantazje zużytego starca. Nielitościwie dowcipny, odważny bardzo i jako żołnierz nie cofający się przed żadnem niebezpieczeństwem — mógł się podobać, póki go kto nie poznał lepiej, pozorami szlachetnemi rycerstwa, rozrzutnością chętną, gotowością do usług uprzejmą... Rolę cywilizowanego odegrywał wybornie, w domu u sług nie potrzeba się było dopytywać, boby nie śmieli wyznać, jak się z nimi obchodził.

Warszawa dla Puzonowa była placem boju, na którem chciał się dobić łask, zaufania i awansu od J. Carskiej Mości. Jak Igelstrom, jak Repnin, jak prawie wszyscy aż do Sievers'a posłowie moskiewscy, Puzonów okazywał zaledwie konieczne względy dla króla i dworaków, lekceważył opozycyę i naród, przeciw którym złoto i groźbę uważał za dostateczne, a nawet miał mało stosunków z tą arystokracyą spodloną, która naówczas płaszczyła się wszystkim posłom z kolei, bałamuciła ich przez kobiéty i sądziła, że spęta pochlebstwy.

Ażeby być swobodniejszym, Puzonów żadnego serdecznego stosunku (jak inni) nie zawiązał w Polsce, chociaż go wabiono bardzo; wolał sobie obrać dom takiej Starościnej Odrzygalskiej za gospodę, gdzie panował samowładnie, a który mógł bez ceremonii porzucić, gdy mu się podobało. Często Betina służyła mu niewiedząc o tem, przynosząc plotki brukowe, które po mieście krążyły; czasem ofiarowała się sama wybadać kogoś i dostać wiadomość, niedostępną dla innych policyjnych ajentów. Czyniła to bez najmniejszej sumienia zgryzoty, jak rzecz bardzo naturalną, często pysząc się, że jej się tak dobrze udało...

Puzonów zaczął bywać u Starościnej przez jakiś kaprys chwilowy, potem towarzystwo jej znalazł użytecznem i miłem, bo go wcale nie żenowało...

Ona też nawzajem znajdowała go bardzo przyjemnym, niesłychanie wykształconym... i starała się bardzo dobre z nim utrzymać stosunki.

Zręczna kobiéta, pod pokrywką jego łagodną wprędce odkryła drapieżny, dziki ów wyraz oblicza, który zdradzał wewnętrzną naturę tygrysią, i — obawiała się go też bardzo... Ale strach nawet niekiedy rodzi pewien rodzaj przywiązania, jest fascynacją, w ludziach i kobiétach zużytych obudza dawno zamarłe nerwy.

XXIX.

Jednego razu, gdy Dymitr Wasyljewicz, przywykły wchodzić do Starościnej kiedy chciał, bez oznajmienia — wpadł wśród dnia, aby u niej odpocząć — zastał tam przed chwilą przybyłą Helę...

Obie kobiéty poufałem tem najściem zostały zmieszane; postrzegł to zaraz Puzonów, przedstawił się ceremonialniej i grzeczniej niż zwykle... Ale Hela trwogą jakąś zdjęta uciekła natychmiast.

Dymitr Wasyljewicz miał jednak dość czasu, by ją zmierzyć okiem ciekawem, zachwycić się jej pięknością i niemal przed nią osłupieć.

Spotkawszy to cudo piękności w towarzystwie Starościnej, mógł jenerał rozmaite robić przypuszczenia o niej i domyślać się... rzeczy dla dziewczęcia nie zbyt pochlebnych; — przecież Hela zrobiła na nim takie wrażenie, iż nie przypuścił nic jej uwłaczającego... Powaga, szlachetność, niewinność tych rysów wypogodzonych, dziewiczych, surowych niemal... nawet zepsutemu człowiekowi nie dopuściły zrównać ją z pospolitemi kobiétami, które tu spotykał.

Jak wszyscy ludzie zużyci, Dymitr Wasyljewicz łatwo się zapalał — i tym razem rozpłomieniał natychmiast, ale nie chciał tego dać znać po sobie. Wprawne oko Starościnej wyczytało w nim wrażenie, nim się z niego wyspowiadał.

Z wielką zręcznością, któraby może kogo innego omamiła — ale nie Betinę, Puzonów niby obojętnie, nie rychło zapytał gospodyni domu, ktoby była ta... panienka, którą u niej zastał...?

Starościna od kwadransa spodziewała się i czekała na to pytanie, przysposobioną będąc do odpowiedzi. Mruknęła więc od niechcenia, że to jest biédne, poczciwe dziéwczę, której ona daje przez litość robotę...

Jenerał nie śmiąc nastawać więcej, zamilkł... mówili o czém innem... Po półgodzinnej może przerwie, już daleko mniej zręcznie i z trochą niecierpliwości począł dopytywać o Helę.

Starościna udała zagniewaną.

— Dajże mi pan z tém pokój — zawołała... Widziałam ja od razu, że zwróciła jego oko... ale to uboga sierota, która mnie obchodzi, bo nawet trochę mi krewna, chociaż o tém nie wie... Więcej jej pewnie nie zobaczycie, głowy sobie nie zaprzątajcie napróżno.

Jenerał spojrzał na nią i ramionami ruszył.

— Jejmość dziś czegoś w złym humorze — odezwał się... Dobrze, nie zechcecie wy mnie powiedzieć o niej, to się sobie dowiem i bez was... Bądźcie pewni, że gdy zechcę... potrafię.

— Nic się więcej nie dowiecie nad to, co ja wam powiadam — rzekła Starościna, a po chwili dodała:

— Cóż to! tak się wam strasznie podobała?

— Bardzo — odpowiedział Puzonów otwarcie. Być może, iż gdybym ją był spotkał w innej sukni i gdzieindziej, na myśl by mi nawet nie przyszło poważyć się... dowiadywać o nią i zająć tak mocno — ale znalazłszy ją u Starościnej...

Betina rzuciła się zagniewana.

— Cóż to znaczy — to: u Starościnej??

— Moja pani droga — uśmiechając się rzekł jenerał — nie graj że pani ze mną przynajmniej roli niewiniątka... nie powiedziałem tego w złej myśli... zobaczyłem ją tu, ubraną tak ubogo... Zresztą tłumaczyć się z tego niechcę... jestem za stary i za niegrzeczny do zmyślania komplementów.

Wróćmy do tego anielskiego zjawiska. A! cóż to za wspaniała piękność pod tą szarą, prostą sukienką... Wiele pięknych kobiet widziałem w Polsce, lecz takiej jak ona— żadnej... To wzór dla malarza... to bóstwo! A jaki majestat i powaga w tém prostem dziewczęciu... co za urocze kształty! Widziałaś waćpani jej rękę!

Starościna zżymnęła ramionami rozgniewana.

— Dajże mi jenerał pokój z jej rękami, wdziękami, majestatem i podobnemi bredniami; dziewczyna ładna, ale tak znowu nic osobliwego w niej nie ma. Was zepsutych i zestarzałych czaruje... tylko młodość... to cały jej urok.

Puzonów ironicznie się uśmiechnął.

Gdy Starościna nieco z gniewu ochłonęła, potrafił ją wreście powoli udobruchać i pochlebstwem dobyć więcej wiadomości.

Betina postrzegłszy to niepomierne zajęcie, wcale nie myślała go osłabiać, owszem szło jej to na rękę, chciała tylko skorzystać i układała plan, jaki miała przyprowadzić do skutku; wypadało się tylko i oburzyć zrazu i podrożyć i jak najtrudniejszem okazać, co jej w istocie zdawało się bardzo łatwem.

Dawszy się więc ułagodzić powoli, w obawie aby Puzonów innemi drogami nie szukał znajomości i zbliżenia się do Heleny, dała mu w końcu do zrozumienia, iż dla jego przyjaźni gotową jest do największych ofiar. Dała mu klapsa po ramieniu, Puzonów ucałował białą rączkę i pogodzili się z sobą.

— Proszę tylko — dodała — słuchać mnie we wszystkiem, być ostrożnym, nie naglić mnie, postępować z umiarkowaniem i zdać się całkiem na przyjaciółkę.

Jenerał zgodził się od razu na wszystko. Dwie te istoty, godne siebie, porozumiewały się łatwo.

Nazajutrz, gdy swoim zwyczajem Hela przyszła z rana odnieść robotę swej protektorce, Betina śmiechem ją powitała od progu i niezrozumiałemi powinszowaniami.

— A! cieszę się i ty się ciesz... — zawołała — wczoraj prawdziwy odniosłaś tryumf... Ten pan, któregoś tu u mnie spotkała (dawny, zacny przyjaciel mojego męża a teraz poczciwy opiekun) — wysoki urzędnik przy jednėm z poselstw, człowiek znaczący, dobrze wychowany, bogaty... ale nie tak jak nasi panowie, co tylko w długi są bogaci... ujrzawszy cię został tak zachwycony, ale to tak! że cały wieczór o niczem ze mną nie mówił, tylko o tobie... dopytywał się, chwalił, unosił...

— A! co mi tam z tego! — odpowiedziała rumieniąc się Hela — na cóż mi się to przydało!

— Jakto? przecież ci to przynajmniej pochlebia — kobiétą jesteś...

— Nawet mi nie pochlebia — smutnie odparła Helena — cóż mi z tego, że mnie nazwał piękną... piękność nic nie znaczy... a nie wie, czym czego więcej warta...

— A — a jeśli się w tobie szalenie zakocha? — przerwała Betina.

— Na cóż mi to? wstyd tylko i ciężar dla mnie — przykrość.

Starościna wstrzymała się, postrzegła, że elementarne zasady zalotności kobiécej obce byłe niewinnej uczennicy.

— O moja droga — rzekła po namyśle — ja także nie jestem jeszcze dzięki Bogu starą... ale gdybym miała — powiem ci szczérze, twój wdzięk, twą młodość...

— Cóżbyś pani zrobiła? — spytała Hela.

— Co?... co? — trzęsłabym światem, ludźmi, miałabym cobym chciała i kogobym chciała, a nie pracowałabym po nocach psując oczy dla kilku złotych.

O! ty nie wiesz — dodała — jaką władzę ma piękna młoda kobiéta nad tymi mężczyznami, i co nią dokazać można... Ale trzeba umieć.

— Tego się ja pewnie nigdy nie nauczę — odezwała się Hela w prostocie ducha—nie rozumiem... nie potrafiłabym...

Cóżby mi zresztą przyszło z małych miłości własnej zaspokojeń... a losu — losu mego zmienićby to nie mogło.

— Jak to? owszem dałoby ci los najświetniejszy! zrobiłoby cię bogatą, szczęśliwą, wielbioną... rzuciłoby ci pod nogi...

Hela słuchała i tak dalece nie zrozumiała Starościnej, która się zbytnio zapędziła, że jej po prostu odpowiedziała:

— Ale ja — nie poszłabym za mąż nie kochając... a...

Ta wzmianka o małżeństwie tak nie w porę, zdziwiła i zmieszała Betinę tak, że zamilkła nagle... Postrzegła, że uczennica stopniowego i powolnego przygotowania potrzebowała... musiała lekcję rozłożyć na dni kilka. Inaczej zrozumieć się było trudno... Hela wcale nie znała świata tego, który był jedynym dla Starościnej; Starościna ledwie się domyślała tak prostodusznéj niewinności.

XXX.

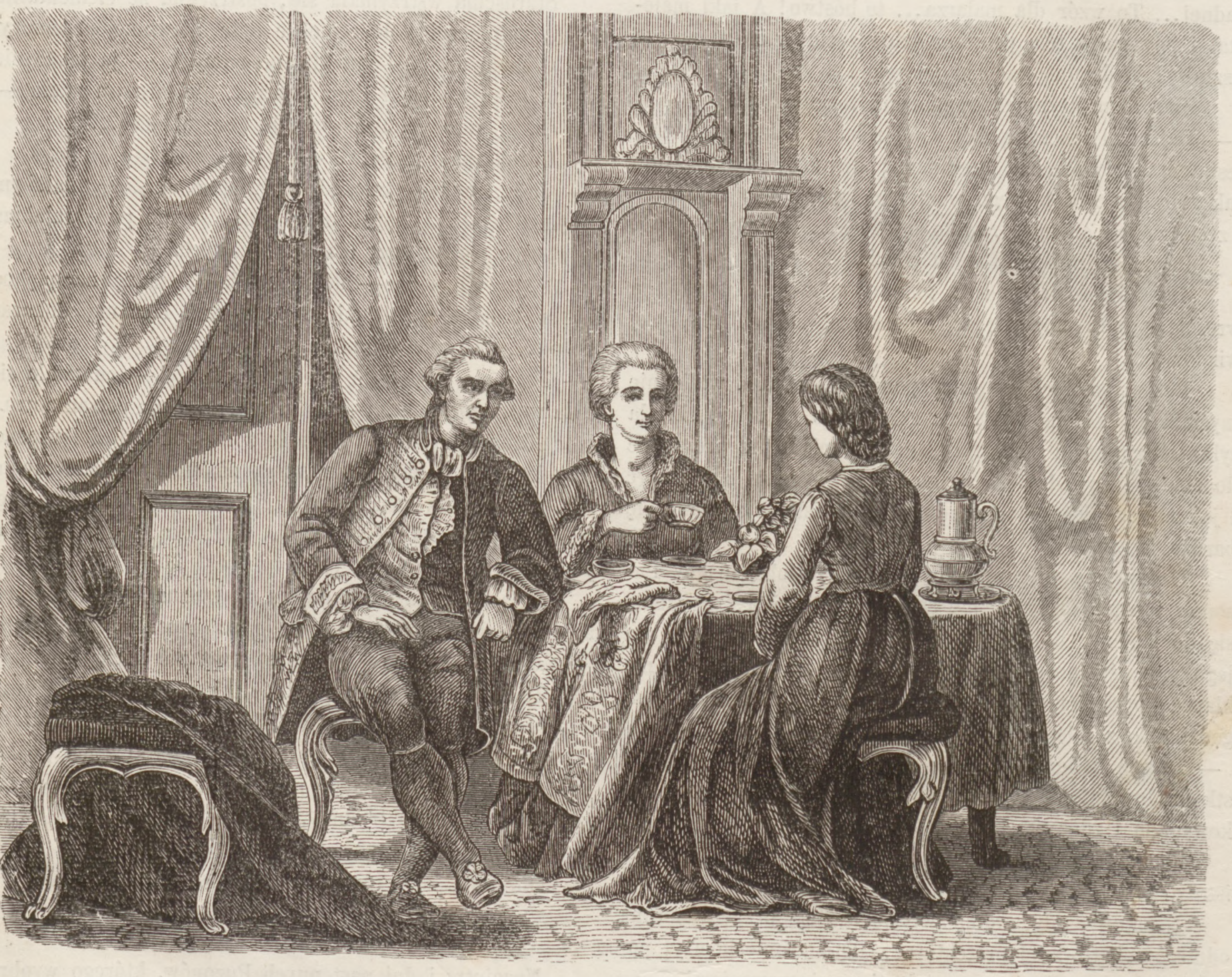
Nazajutrz i dni następnych Puzonów, którego wyobraźnia silnie była zajęta pięknością nadzwyczajną Heli — nie mogąc przypuścić, żeby tak była istotnie niedostępną i dziką, jak mu ją malowała Starościna, wysłał potajemnie na zwiady swoją policję sekretną dla dokładnego wywiedzenia się o stan i położenie Heleny. Ludzie, co koło podobnych spraw chodzić byli przywykli, wybadali wszystko; doniesiono mu bardzo szczegółowie, kto była, gdzie i z kim mieszkała. Dowiedzał się nawet więcej niż Starościna, która ją miała za siostrzenicę, bo o tajemniczém pochodzeniu, o zupełném sieroctwie — ale zarazem o nieposzlakowanej sławie, pracowitém życiu i niezmierném ubóstwie.

Strzegł się od razu wydać z tém przed Betiną, o czém się dowiedział, aby nie okazać przed nią, iż jej nie ufa; ale przekonał się, że inaczej jak za pośrednictwem Betiny trudno mu będzie bliższe zawiązać stosunki.

Paliła mu się głowa, niecierpliwił się, biegał, nareście wymógł to na Betinie, iż mu oznajmi, kiedy Hela będzie u niej, aby ją przecie mógł poznać bliżéj...

Z wielką trudnością przyszło Starościnie skłonić dziewcząc wychudłe rączki na szyję — moja ty siostrzyczko droga... ty tak teraz rzadko posiedzisz przy mnie, a ja tak ciebie kocham... mnie tak z tobą dobrze... Gdy wezmę dłoń twoją i położę sobie pod głowę... to usypiam tak słodko... i zdaje mi się, żem zdrowsza... żem bezpieczniejsza, kiedy cię czuję przy sobie...

— O! pieszczotko ty moja — mówiła jej Hela — pomyśl... ja przecie pracować muszę, żeby wam nie być



...wzrok jenerała gonił za piękną, rumieniącą się twarzą dziewczęcia...

czę, aby na dłuższy czas do niej przyszło... ale Betina miała na to sposoby: — pod tym tylko warunkiem przyrzekła robotę, zagroziła że odmówi pomocy wszelkiej, udawała obrażoną i zagniewaną...

A Julka mała leżała chora, matka płakała dnie i noce, a biedna Hela kochała je obie, i serce jej pękało, gdy im dopomódz nie mogła! Robota i zasiłek od Starościnej musiały starczyć na wszystko, bo innych środków nie było.

— Moja Helusiu — szeptało jej chore dziecię — zarzuciężarem... a czasem ulżyć wam trochę... Ot — i dziś tak się złożyło... dodała, że mi kazano koniecznie wieczorem być tam, gdzie mi robotę dają i gdzie mi ją najlepiej płacą... Kochana matusiu, co ja tu pocznę... na jutro potrzeba lekarstwa... bułek... soku... wszystkiego... przyniosłabym zasiłek — ale muszę, muszę po niego dziś iść wieczór, inaczej tej pani nie zastanę... Kazała! a my... my słuchać musimy.

— Ale dla czegoż wieczorem — spytała Ksawerowa...

mogłabyś może pójść rano. Wiesz Helo, jaką nieograniczoną mam ufność w tobie — a z twoją pięknością, młodością, niedoświadczeniem, ufnością poczciwą... ja się tak o ciebie lękam!

— Czegóż, matuniu moja! — weselej podchwyciła Helena całując jej ręce — czego? Nie obawiajcie się, ludzie nie są tak źli i Bóg czuwa nad sierotą — Cóż mi się złego stać może?

Ksawerowa nadto była biédna, nadto kochała Helunię i drzała o nią, zamilkła więc, nieopierając się już więcej— wieczorne wyjście Heli ułożone zostało.

Każda inna byłaby się może przybrała nieco staranniej, ona nie myśląc by tam kogo spotkać miała, nie chcąc się podobać nikomu, pozostała w swej codziennej sukience, przygładziła włosy... wyszła...

Zastała już Betinę oczekującą, a w pokoju światła rzęsiste... coś jakby przygotowanie do przyjęcia gości; chciała się zaraz cofnąć, ale Starościna porwała ją za rękę.

— A! nie bądźże już dzieckiem — zawołała niecierpliwie. Nikogo u mnie nie będzie... zostaniemy same... Ja lubię światło... A gdyby i nadszedł przypadkiem ten pan... ten... wiesz, który cię tu już raz widział — któremuś się tak szalenie podobała...

— Tobym natychmiast uciekła! — krzyknęła Helena.

— A jabym się śmiertelnie pogniewała... — zawołała Betina — Co to za dzikość i strachy jakieś śmieszne!

Popatrzyła na nią, a widząc ją tak prosto ubraną w codziennej tylko sukience, ruszyła ramionami. Pod rozmaitemi pozorami to chłodu, to próby ubioru, chciała ją koniecznie trochę przystroić, ale się Hela stanowczo temu oparła. Pozostała więc jak przyszła w ubraniu swem powszedniem, ale te światła, te stroje już ją zaniepokoiły... Wspomnienie o nieznajomym panu dawało do myślenia... Posępna, zmuszona oczekiwać na zapłatę i robotę—usiadła.

Starościna usiłowała ją rozerwać rozmową, ale i ta nieszła; dziéwczę przelękłe zaledwie odpowiadało, wstawało co chwila, powstrzymać ją było trudno. Widząc ją niespokojniejszą coraz, Starościna zebrała się na szczérość.



Ubiory Słowaków. (str. 86.).

— Otóż ci już wprost wolę powiedzieć, dla czego cię przytrzymuję — rzekła — Mój dobry opiekun chciał cię widzieć koniecznie... przyrzekłam, że cię pokażę... wszakże cię oczyma nie zje, cóż w tém złego?... Podobałaś mu się... stara się przybliżyć... toć nie grzéch!

— Ale ja wcale znajomości nie pragnę — zawołała Helena... — Niech to panią nie obraża, może być najpoczciwszy człowiek, przecież na mnie, od pierwszego rzutu oka, zrobił wrażenie bardzo przykre... powzięłam jakąś obawę... nie wiem, to dziwactwo zapewne... wstręt prawie...

— A! a!—odparła śmiejąc się Starościna — wieszże co to znaczy! Jestto zawsze pierwszą oznaką mającej się nieochybnie urodzić miłości... to rzecz nie zawodna!

Hela zarumieniona, prawie do łez zmieszana, błagała i prosiła, aby jej odejść było wolno... Już się zbierała do ucieczki.

— Słuchajże, utrapiona dziéweczko! — zakrzyknęła Starościna— klnę się, że jeźli tym razem pójdziesz odemnie, to nie masz po co powracać... będę się gniewać... a ja

gdy się pogniewam raz... to na zawsze... Przecież ci u mnie żadne nie grozi niebezpieczeństwo... Idź jeśli chcesz... ale bądź zdrowa!

Gniew tym razem istotny i nieudany wcale, strwożył Helenę... obrachowała jego następstwa... zdało się jej, że posłyszała płacz Julki... że zobaczyła twarz jej bladą i łzy Ksawerowej... i usiadła cała drżąca...

XXXI.

Na tę chwilę nadszedł wreście oczekiwany Puzonów, który dzięki tej wielkiej łatwości, z jaką się Moskale uczą języków, a razem pobytowi w Warszawie i stosunkom ze Starościną, mówił bardzo dobrze po polsku. Uśmiéchając się szydersko zwykł był nawet z przekąsem powtarzać często: mości dobrodzieju i mościa dobrodziejko! Ubrany był jak zwykle, gdy się puszczał na wycieczki wieczorne, po cywilnemu, z pewnym wykwintem, przywdziawszy razem ze strojem słodycz i grzeczność, którą ziomkowie jego kładną i zrzucają z tą nadzwyczajną zręcznością, z jaką pajac na linie ubiera się i rozbiera... stojąc na jednej nodze.

Hela stała przy krześle, czerwona jak wiśnia, drżąca jak liść jesienny, zmieszana.

Starościna pospieszywszy do progu, dała znak jenerałowi, aby był ostrożnym i nie spłoszył strwożonej; ale on wiedział już sam, jak się miał zachować. Oznajmiono mu wcześnie, że ma grać rolę przyjaciela nieboszczyka męża, opiekuna; Betina na ten wieczór oblekła się skromnością i powagą.

Tam gdzie potrzeba z krwią zimną choćby w przeddzień szubienicy i rzezi przybrać postać obojętną a spokojną, starzy wychowańce despotyzmu, dobrej krwi tatarskiej, chodzący w chomącie niewoli od młodu, naginają się do wymagań położenia z talentem nieporównanym. Stają się aż do znudzenia słodkimi, jeśli ta słodycz ma im na co posłużyć, poufałymi, dobrodusznymi... choćby w kwadrans potem przyszło im wrócić do pierwotnej dzikości...

Dymitr Wasyljewicz stał się prawie nieśmiałym, tak był uszanowania pełnym... Zamruczała coś Betina niezrozumiałego, przedstawiając go pannie Helenie...

Wkrótce jednak przelękłe dziewczę odzyskało całą odwagę niewinności... i śmiałość swą nieco dziką... Mało żyjąc z ludźmi Helena miała tylko instynkt, brakło jej doświadczenia, zgadywała formy których nie znała, a przecież była w porównaniu do Starościnej wielką panią. Choć ją onieśmielało ubóstwo i położenie towarzyskie — czuła wielce godność swoją.

Jenerał aby ją nazbyt nie trwożyć, przywitawszy się ledwie, począł od swobodnej i wesołej rozmowy z Betiną, od ogólników, podano kawę i owoce, przysunęli się do stołu... Hela płoniąc się siadła z daleka... milcząca... Gospodyni nie łatwo potrafiła wciągnąć ją powoli w rozmowę. Mówiono o Warszawie, o pogodzie, o miejskich plotkach, o wszystkiem i o niczem... byle coś mówić; wzrok jenerała gonił za piękną, rumieniącą się twarzą dziewczęcia... Starościna, która rozmowę taką doskonale prowadzić umiała, przedłużała ją umyślnie, aby Heli dać czas ochłonąć...

Spokojniejszą ją widząc, jenerał z najsłodszemi i pełnemi poszanowania formami zbliżył się do niej, i niby otwarcie, bez pretensyi wyznał jej od razu, że nadzwyczajna jej piękność zrobiła na nim wrażenie, któremu oprzéć się nie mógł.

Na grzeczności, któremi ją obsypywał, smutna Helena ledwie coś niezrozumiałego odpowiedzieć mu potrafiła — ale z kilku tych wyrazów, a więcej z wejrzenia jej spokojnego, chłodnego, przekonał się jenerał, że stał przed istotą, wcale do gospodyni domu nie podobną, że to była natura dziewicza, czysta, szlachetna aż do exaltacyi, pełna prostoty i energii zarazem, która tych pół-kłamstw, zwanych grzecznościami po świecie, zrozumieć nawet nie mogła i ocenić nie umiała. Pochlebstwa widocznie nie robiły na niej żadnego wrażenia — język salonów i świata był jej obcym.

Ile razy człowiek taki, nawykły do życia wśród istot sztucznych a zepsutych, zetknie się ze świeżém, wonném, pełnem naturalności zjawiskiem — budzi się w nim naprzód jakaś niewiara, podziw — potem uczucie własnej bezsilności. Te kunszta spospolitowane, któremi tak doskonale władał zdobywca serc wielkiego świata, tu się nie zdały na nic... moneta to, która nie ma kursu... potrzeba było zmienić taktykę i jeśli nie mając serca mieć choć pozory uczucia.

Jenerał postrzegł to prędko, plątał się i mylił, bo nie mógł na ton właściwy trafić... Hela ośmielona, chłodniejsza, pewna siebie, zabiła go majestatyczną obojętnością i poglądała nań z góry.

Ale Puzonowa to roznamiętniło więcej jeszcze, rozpłomieniał, rozkochał się szaleniej, jeśli to zakochaniem nazwać się godzi, co było najpospolitszą namiętnością.—On to tak nazywał, bo innej miłości znać nie mógł, a tę praktykował od lat czternastu życia.

Godzina pobytu Heleny zeszła mu bezkorzystnie, był prawie upokorzony — wydawała mu się teraz nierównie ponętniejszą, niż pierwszą razą.

Gdy nareście wyrywająca się co chwila Helena odejść mogła, a raczej wylecieć z tej duszącej ją atmosfery — Puzonów padł na krzesło odzyskując swobodę, i zawołał do Starościnej.

— Rób co chcesz! żądaj co ci się podoba, ja się szalenie w niej kocham i ona musi być moją...

— Że się zakochałeś jak stary rozpustnik, nie potrzebujesz mi tego waćpan mówić, wiem o tém doskonale... — odpowiedziała Starościna — ale co wy sobie myślicie?

Uboga to prawda, no — a gdybyście się nawet ożenić z nią chcieli — co być nie może — to ręczę wam, że za was by nie poszła.

Puzonów spojrzał ruszając ramionami

— Oszalałaś czy co? Żenić się? ja? Ja co mogę wziąć z dworu cesarzowej księżniczkę na wybór, co mi pięćdziesiąt tysięcy dusz przyniesie? ja? ożenić się... co się dzieje z tobą szanowna Starościno? żartujesz...

— Żartuję — odparła Betina — wiem, że tego byś ani mógł ani chciał zrobić; ale ci powiadam dla tego, abyś miarkował, że nie pójdzie ci to łatwo... Jest to wcale osobliwsza dziewczyna, jakiej mi się jeszcze spotkać nie trafiło... cnotliwa... nie zalotna... a zimna... głowa się jej nie zawróci!!

— Słuchajże, pani moja — przerwał jenerał — potrzebujęż ja to wam tłumaczyć, że są sposoby na wszystko i środki na wszelkie charaktery?... Uboga... nie znana, bez familii...

— Nie tak zupełnie — rzekła Betina.

— Owszem, zupełnie, wiem to dobrze — odpowiedział jenerał.

— Przecież jest moją... siostrzenicą — dodała Betina — jakem to miała honor mówić mu.

Jenerał spojrzał badająco, ale nie znajdował na teraz właściwem tłumaczyć się — i ciągnął dalej.

— Choćby... no to co?

A w duchu spytał siebie — czy nie wie istotnie, czy kłamie przedemną?

Potem dorzucił jeszcze...

— Uboga... bardzo uboga... pani powinnaś zrozumieć, co to znaczy...

— Wszystko wiem, wszystko rozumiem, a jednak za nic nie ręczę i niczego się nie podejmuję — zawołała Starościna... Sprawa trudna...

— Ale pani trudniejsze nieraz w życiu umiałaś pokonać — rzekł uśmiéchając się grzecznie jenerał — bądź tylko dobrej woli dla mnie.

Starościna pokręciła głową.

— Ale bo waćpanu przyszła w istocie nie w porę fantazja osobliwsza... Choćbym chciała po przyjacielsku mu służyć... doprawdy stawisz mnie w położeniu...

— Powiedzże mi Starościno szczérze — zniecierpliwiony przerwał jenerał — zrzekasz się?

Starościna podrożyć się chciała, ale wcale nie myślała się zrzekać; zlękła się trochę widząc, że zaszła za daleko.

— No... zobaczymy, zobaczymy — odezwała się z uśmiechem... na to bo potrzeba czasu... wyboru chwili... pracy, zachodu... i... kto wie ile nieprzyjemności do zniesienia...

Jenerał pochlebiał, obiecywał, prosił, nalegał i tak ją nareście ubłagać potrafił, że mu swą pomoc przyrzekła znowu, wymawiając nieograniczone posłuszeństwo swym rozkazom. (C. d. n.)

PAMIĘCI
KAROLA SZAJNOCHY.

„Lepiej iść do domu żałoby, niż iść do domu biesiady, przeto iż tam widzimy koniec każdego człowieka, a żywiący składa to do serca swego.“

Ecclesiastes VII. 2.

Nad ziemią naszą, ciemną i biedną,
W rychłym powrocie do światłości stoku
Zgasło znowu światło jedno!

Ileż to życia gaśnie co roku,
Co miesiąca, co tygodnia —
Ile go pośród nas co dnia
Zapada w mroku...
Jako gwiazdy spadające,
Migają w oczach naszych tysiące,
Tysięcy krocie
W przelocie.

Znikoma świetlista smuga
Na niebie bladem —
Krótkie wspomnienie, próżnia niedługa
Między krewnymi, sąsiadem:
Jedynym śladem,
Iż wśród nas żyli;
A gdy ubyli,
Nieznanych prawie za życia
Mało kto dostrzegł ubycia.
I aż na sądzie świata ostatecznym,
Kiedy się czasów wypełnią miary,
Staną przed Sędzią przedwiecznym
Owi nieznani spólnicy

Ziemskiej miłości, nadziei i wiary,
W jawności wiecznej nagrody lub kary,
Na lewicy — na prawicy.

Ale są światła, co wschodzą
Również nieznane z ukrycia;
Ziemskiego blasku nie biorą z domu,
Ani światowym szczycą się względem;
Lecz w ciągu życia
Własnej dzielności popędem
Wznoszą się szybko nad mgły poziomu,
Promieńmi siejąc jasnemi,
I groty prawdy ostremi
W ciemności godzą,
Walcząc zwycięzko z fałszem i błędem,
Duchowe tryumfatory!...
A gdy doczesne przebiegłszy tory,
W blasku pokory
Zachodzą:
Nie przepadają dla ziemi;
Bo drogę życia, którą przebyły,
Gwiazdami myśli znaczyły
Nieśmiertelnemi,
Wiecznemi!

Nad ziemią naszą, ciemną i biedną,
Takie zaszło światło jedno!

Na dzień pogrzebu
Wdzięczność światowa
Spóźnione względy swe chowa,
Gdy ciało oddaje — ziemi,
A duszę zmarłego — niebu
Modłami poleca swemi...
W jawnej żałobie
Cisną się tłumy za trumną, przy grobie
Niedość cenionej za życia zasługi.
Społeczne szczyty
Raz przecie
Łączą się z ludu orszakiem
W jeden zastęp znakomity,
W celu oddania ostatniej posługi
Dziejopisowi — poecie.

Na twarzach smutek wyryty,
A długim szlakiem
Ciągnące wspaniałe cugi,
Świecące blaskiem herbownym,
Udziału innych mają być znakiem
Wymownym...

I dług pamięci mając za spłacony,
Wraca z pogrzebu świat uspokojony,
Że bodaj trumnie,
Do grobowego niesionej dołu,
Z osieroconą rodziną pospołu
Towarzyszyć raczył tłumnie...
Lecz nie — nie koniec — wszakże wspomniano
Przy pogrzebowym obchodzie,
O czem aż dotąd nie pomyślano,
Że wieszcz — historyk, czczony w narodzie,
Miał i swój bliższy zakres domowy —
Że narodu ulubieniec
Miał i rodzinne swe gniazdo,
W którem opatrzną był gwiazdą
Od lat dziesięciu ciemny kaleka
Dla jedynaka i żony — dziś wdowy!...
Wspomniano o tem — i wstydu rumieniec
Żyjących ziomków twarze powleka:
Lat dziesięć dola ciemnego pisarza,
Bogacza ducha — w ciele Łazarza —
W tak ludnym grodzie,
Co mówię? — w całym narodzie
Jednego tylko... pocieszyciela,
Jednego miała... wyręczyciela,
Sercem ludzkiego,
Czynem hojnego —
Co bratniej podaniem ręki
Zasłużonemu osładzał
Kalectwa troski i męki,
I zmierzchłe w pracy czoło myśliciela
Rozjaśniał i wypogadzał!...
A kraj... a naród... co zmarłego prace
Składa dziś w swym Panteonie —
O wdzięczność... od drzwi do drzwi kołace,
Wedle zwyczaju — po zgonie!...

I. Zakrzewski.

MIESZKAŃCY PODTATRZA.

SZKIC ETNOGRAFICZNY.

Jeżeli nie możemy się uskarzać na brak opisów Tatrów pod względem ich przyrody, toć tem bardziej utyskiwać wypada na to, że tak mało dotąd zajmowano się ludem Podtatrza. Oprócz Zejsznera, który zbierał pieśni ludu Podhalan i podał o tymże ludzie krótką wiadomość, i oprócz Goszczyńskiego, który chciał głębiej wniknąć w duszę górali tatrzańskich i poznać ich świat duchowy — podobno nikt więcej z Polaków nie zajmował się szczegółowo mieszkańcami Podtatrza, nie starał się zbadać ich zwyczajów i obyczajów i przeszłości ich historycznej.

Pod względem etnograficznym są więc jeszcze Tatry, a raczej Podtatrze polem, leżącem odłogiem, nie uprawionem, nie spożytkowanem w naukowy sposób. To co na tem polu zrobili Zejszner i Goszczyński, nie jest pod żadnym względem dostateczne. Zejszner jest zanadto dobrym geologiem, żeby mógł być dobrym etnografem; Goszczyński zaś jako poeta patrzał na lud przez różowe szkła fantazyi poetyckiej. Trzeźwy badacz, zaopatrzony w potrzebny zapas nauki i uzbrojony w niezbędną do tego rodzaju studyów wytrwałość i zręczność, będzie więc tu miał kopalnię tak dobrze jakoby nietkniętą. A można być pewnym, że ta kopalnia sowitym wypłaci się plonem — że wiele ciekawych wydobędzie się z niej rzeczy; może znajdzie się niejeden brylańcik do dziejów narodowych, a może trafi w niej kto, idący w ślady Goszczyńskiego, na złotą żyłę poezyi, na nowe źródło Hipokreny, któreby się bardzo przydało naszemu dogorywającemu rymopisarstwu.

Nim to nastąpi, streszczamy tymczasem tutaj, co dotąd napisano o mieszkańcach Podtatrza.

U stóp Tatrów w czterech wielkich dolinach podtatrzańskich zamieszkał od wieków lud polski, ruski i słowacki w bezpośredniem ze sobą sąsiedztwie. Pomiędzy odwieczne osady słowackie na Spiżu napłynęły poźniej kolonie niemieckie i wcisnęła się ludność madiarska, i tak na Podtatrzu, na szczupłym obszarze kilkudziesięciu mil kwadratowych, zmieszało się ze sobą pięć różnych ludów i pięć różnych narzeczy. Za właściwych synów jednak tej krainy alpejskiej należy uważać tylko Słowaków w stronie południowej na Spiżu, i Podhalan w górnej części doliny Nowotarskiej u północnego podnóża Tatrów.

Góral słowacki nierównie mniej się różni od swego rodaka z równin, niż góral polski od swego brata z Mazurów lub z Krakowskiego. Należy on do 4milionowego ludu słowiańskiego, mówiącego językiem bardzo do czeskiego zbliżonym, a zamieszkującego całe północne Węgry. Linie pociągnięte na mapie Węgier od Preszburga ku wschodowi aż do Balassa Gyarmat, ztąd ku północnemu wschodowi aż cokolwiek powyżej Koszyc, a ztamtąd wprost ku północy do granicy Galicyi, określają od południa siedziby Słowaków w Węgrzech. Lud ten nie ogranicza się jednakże wyłącznie na Węgry północne, owszem osady jego posuwając się w jednej stronie aż w głąb Morawii, rozsypują się w drugiej stronie kępami po całych Węgrzech środkowych i dalej aż do Banatu i Serbii.

Góral słowacki z Podtatrza, ze Spiża i z doliny Liptowskiej nad Wagą, nietylko że tym samym językiem mówi, co Słowak od Koszyc lub Preszburga, lecz nawet strojem prawie wcale odeń się nie różni. Góry nie wpłynęły więc tutaj tak potężnie, jak zazwyczaj bywa, na wyrobienie wybitnych odrębności w zamieszkującym je ludzie.

Buty węgierskie, spodnie obcisłe wyszywane, koszule z szerokiemi rękawami, spencer kolorowy, pas szeroki skórzany, na to wszystko szeroka i długa gunia biała, a na głowie kapelusz albo z małą podgiętą w górę z węgierska, albo przeciwnie z olbrzymią krysą, a zawsze ozdobiony mnóstwem wstążek i całemi bukietami kwiatów — oto strój słowackiego górala. Do uzupełnienia trzeba jeszcze dodać długie włosy splatane w kosy, wielką torbę przewieszoną przez ramię i toporek wybijany w różne wzory mosiądzem, wraz z fajeczką na krótkim cybuszku, nieodstępną towarzyszką górala.

Dziewczęta noszą koszule o szerokich rękawach suto wyszywane różnokolorową włóczką, związane pod szyją wstążkami, pęki wstążek w kosach, kolorowe spodnice, haftowane w kolory fartuszki i buty kolorowe.

Górale słowaccy, jak zwyczajnie mieszkańcy gór, odznaczają się wysokim wzrostem, a przy tem silną muskularną budową i ową lekkością w ruchach, ową zwinnością, jaką wyrabia w nich wspinanie się po górach.

Chów bydła stanowi główną gałęź w gospodarstwie górali spiskich i liptowskich, jakkolwiek mają oni więcej i wydatniejsze role niż górale nowotarscy. Łowiectwo jest najulubieńszem ich zajęciem, namiętnością owszem, i skutkiem tej to namiętności wytrzebiona została do tego stopnia zwierzyna w Tatrach, że kilka gatunków źwierząt

zupełnie tam wyginęło, a inne jak np. świstaki stały się bardzo rzadkiemi i bliskie są zupełnego wyniszczenia. Zbójectwo uchodziło do niedawna u górali słowackich podobnie jak i u polskich za rodzaj rycerskiej zabawy, którą nie uważano oczywiście za hańbiącą, lecz owszem za zaszczytną.

Nie zatrzymujemy się dłużej nad opisywaniem sposobu życia i zwyczajów górali słowackich, mają oni bowiem pod tym względem wiele wspólnego z góralami polskimi, o których chcemy obszerniej pomówić, jako o bliżej nas obchodzących. Zwróciwszy więc jeszcze tylko uwagę czytelnika na pierwsze dwie ryciny nasze, z których jedna przedstawia stroje Słowaków podtatrzańskich, a druga typy słowackie, i wspomniawszy kilkoma słowami o dziejach Słowacczyzny — przejdziemy na drugą stronę Tatrów t. j. na Podhale.

Za czasów pierwszych Piastów należała cała Słowacczyzna po Dunaj, Cisę i uchodzącą do niej Teplę do Polski. Nazywano wówczas tę krainę *Ruhią* czyli *Ruzyą* od dawnych jej mieszkańców *Rugów* czy *Ruhów*. Już następcy Bolesława Śmiałego utracili Ruzyę, i tylko mała jej cząstka, podtatrzańska dolina nad Popradem, którą rozporządzał jeszcze Bolesław Krzywousty, a następnie Wstydliwy otrzymawszy ją w posagu z ręką św. Kingi królewny węgierskiej, powróciła stale do Polski za czasów Jagiełły w r. 1412. Zkąd ta cząstka Słowacczyzny, dawnej Ruzyi, otrzymała łacińską nazwę *Scepusia*, a polską *Spiż?* — czy powstały te nazwy z przekręcenia dawnej nazwy *Gepusia*, którą—jak twierdzi Lazius—nadać mieli tej krainie dawniejsi jej mieszkańcy Gepidowie, czy też inny jest ich początek? — dochodzić nie będziemy. Dosyć, że Spiż, nosząc nazwę starostwa należał do prowincyi Małopolskiej królestwa Polskiego aż do r. 1772, w którym do cesarstwa austryackiego, a mianowicie do krajów korony węgierskiej został przyłączony.

Podhalem nazywają południową część doliny Nowotarskiej, w której leżą następujące wsie:

Nad *Dunajcem Czarnym*: Kościelisko, Dzianisz, Witów, Hochołów, Koniówka, Podczerwone.

Nad *Dunajcem Białym*: Zakopane, Olsza, Mur, Poronin, Ratułów, Doratułowa, Ząb i Ząb suchy, Biały Dunajec, Gliczarów, Bańskie i Szaflary.

Nad *Rogóżnikiem*: Skrzypne, Między-Czerwienne, Muraszyna i Zaskale.

Nad *Białką*: Brzegi, Bukowina, Białka, Groń, Leśnica.

Krainę tę, która niegdyś w całości należała do starostwa Nowotarskiego, odgradza od północy pasmo wapiennych skałek, odgraniczając zarazem Podhalan, właściwy ród alpejski, prawdziwych synów Tatrów, od osiadłych poniżej górali od Nowego Targu i od Pienin, Krościenka i Łącka. Przyjęli oni tę nazwę od Hal wyniosłych, od owych łąk alpejskich, rozścielonych nad lesistą krainą Regli, i z chlubą wymawiają to swoje nazwisko, uważając siebie za najszlachetniejszy ród w góralszczyźnie, i za taki są też poczytywani i przez wszystkich innych górali.

Podhalanin w obcej stronie zapytany: — „a zkąd góral? — dumnie wznosi głowę i odpowiada: — „z Halu!“

Czuje on się o tyle wyższym od innych mieszkańców gór, o ile Turnie jego Tatrów przewyższają lesiste grzbiety Beskidu. Niewątpliwie bowiem wspaniała wyniosłość natury alpejskiej Tatrów, wyrobiła w Podhalanach to poczucie wyższości, które tak ich podnosi, że wymusza uznanie i u sąsiadów. Ta to natura alpejska, ten klimat czerstwy, a przy tem od wieków większa swoboda, niż jej używał lud polski w równinach, którą zresztą zawdzięczali także głównie tejże naturze swojej krainy, niezdolnej do uprawy na większe rozmiary — wyrobiły w Podhalanach zupełnie odrębny charakter. Lud ten odróżnił się tak zupełnie od swoich rodaków z równin, że podobniejszym jest do słowackich sąsiadów ze Spiża, a może nawet do tyrolskich, szwajcarskich i pirenejskich górali, niż do polskiego ludu z Mazurów, z którym nie łączy go nic więcej okrom spólności języka.

Wsie Podhalan rozsiadły się długiemi rzędami chat po dolinach, wzdłuż strumieni górskich. Często trudno oznaczyć, gdzie się kończy wieś jedna a zaczyna druga, tak nieznaczna pomiędzy niemi jest granica. Pospolicie chata każda ma w pobliżu zabudowania gospodarskie i rolę w dolinie, albo po górach, czyli jak powiadają górale „po wirchach.“ Niekiedy po zboczach gór opodal od wsi stoją chaty pojedyncze, albo po kilka razem, otoczone wieńcem drzew. Takie sadyby rozprószone nazywają Podhalanie „potraconemi, do których — jak mówią — rzadko zajrzy wojak i ksiądz“. Należą one zwyczajnie do rozrodzonych członków jednej familii i nie mają nazwisk właściwych, tylko przybierają je od swoich mieszkańców. Jeżeli więc spytasz o nazwisko takiej osady oderwanej od wsi, powie ci góral: to osada gdzie mieszkają Toporowie, Janikowie, Gąsienicowie, Kalatowie, Mrożkowie, lub jaka inna z owych głośnych w Podhalu a dawnych rodzin, które nadały swoje nazwiska nietylko osadom, lecz całym dolinom tatrzańskim, niektórym jeziorom i Turniom.

Chaty Podhalan i ich zabudowania gospodarskie o wiele są porządniejsze i schludniejsze, niż chaty ludu dolskiego. Stawiają je z berwion sosnowych albo jodłowych, a pobijają gątami albo pokrywają deskami. Każda ma okna duże, wpuszczające obficie światła do izby. Nie ujrzysz tu nigdzie owych walących się ścian oblepionych gliną, o małych otworach zastępujących okna, pod strzechą przegniłą umajoną porastającem ją zielskiem, owych chałup kurnych, pełnych brudu i nędzy, w których ludzie mieszkają w bezpośredniem sąsiedztwie ze źwierzętami

domowemi, a które niestety tak są pospolite po wsiach naszych wśród najżyźniejszych niw w równinach. Chaty podhalskie jak z zewnątrz pokaźne, tak i wewnątrz odznaczają się czystością, wygodą a czasem nawet jak na kmiecia pewną zbytkowną ozdobą.

Sień rozdziela zwyczajnie chatę na dwie części: z jednej strony jest izba *czarna*, z drugiej *biała*, a za nią komora przeznaczona na przechowywanie dostatku domowego, przędzy, płócien, kożuchów i t. p. Pierwsza, obszerniejsza, nie bez słuszności nazywa się czarną, bywa bowiem całkiem zakopcona, mając ognisko, z którego dym nie wychodzi kominem, lecz ścieli się po całej izbie, wysuwając się powoli przez drzwi do sieni. Jest to ujemna strona góralskiego mieszkania. Tu gotują, tu zimową porą gromadzi się czeladź i przy płonącem ognisku przypomina sobie przygody doznane w porze letniej na Halach, rozpowiada cudowne historye o różnych dziwach, i rozwija w swojej wyobraźni tęczowe obrazy po kłębach dymu snującego się z ogniska i z fajek. Zabiegnie tu nierzadko i cielę lub jagnię, aby się ogrzać przy ognisku, do którego nie bronią mu przystępu. Kto nieprzyzwyczajony, tego prędko wygoni ztąd dym gryzący w oczy do izby białej po drugiej stronie sieni, która po czarnej wyda mu się tem piękniejszą i schludniejszą. To też jest izba, w której gospodarz, po góralsku *gazda*, przyjmuje swoich gości, w której odbywają się zabawy i obchodzą uroczystości domowe. Zamiast poprostu ubitej ziemi, jak w izbie czarnej, jest tu już porządna podłoga z desek równie czysto wymyta, jak pułap i ściany, które rzadko kiedy bywają bielone. Dokoła ścian obiega ława przymocowana do nich; po jednej stronie stoi długi stół najczęściej z cisowego drzewa, po drugiej na długich pułkach jaśnieją rzędami różnokolorowe talerze, miski, garnki i dzbanki wzorzysto polewane, rzadko używane i służące raczej do ozdoby, niż do użytku. Jest to coś niby serwantka albo etażerka naszych salonów. W jednym rogu wznosi się duży piec i komin czyściuteńko wybielony i odbijający tu białością swoją od brunatnych ścian berwionowych, w drugim rogu łoże usłane wysoko, nad którem jaśnieją obrazy świętych, ubrane w święcone wianki i palmy. Jeżeli w chacie jest młoda dziewczyna na wydaniu, to nad łożem w białej izbie na żerdzi utwierdzonej pod pułapem wisi cała garderoba dziewoji, aby starający się o jej rękę mógł odrazu wiedzieć, jaką będzie miała wyprawę.

Również porządnemi zabudowaniami zapełniona jest i cała zagroda: stodółka, stajnie, szopa na wozy, otaczają w czworobok podwórko, najczęściej wyłożone kamieniami. Od strony pola osłaniają chaty drzewa, chroniąc je od wichrów. Są to najczęściej bujnie rozrosłe jasiony, najulubieńsze drzewo górala podhalskiego. Sad rzadko spotkasz przy zagrodzie, albowiem szczególnie w górnej części Podhala klimat jest już za ostry dla drzew owocowych.

Objechawszy nędzne wioski dolskiego ludu naszego, doznaje się niewymownie miłego wrażenia przybywszy do wsi podhalskiej. A przecież jej mieszkańcy zbierają ze swojego pola nierównie mniej, niż wieśniacy równin. Kilkanaście korcy owsa i ziemniaków i trochę lnu — oto cały plon z roli górala i to w roku pomyślnym. A ileż to razy zdarzy się, że zasiane po wyższych polanach owse zasypią sniegi, nim one jeszcze dojrzeją i trzeba je skosić na paszę. Zapewne, że do tych porządnych zabudowań przyczynia się niemało obfitość lasu a ztąd łatwość w nabyciu materyału budulcowego, lecz nierównie więcej pracowitość, rządność, oszczędność, wstrzemięźliwość i przemysł Podhalan.

Nie można też istotnie zadowalniać się skromniejszem pożywieniem i być wstrzemięźliwszym, trzeźwiejszym i oszczędniejszym nad Podhalan. Karczmy w dnie powszednie stoją tam zawsze puste. Jeżeli się napełnią w dni świąteczne, to i wówczas przewodzi umiarkowanie; nie ma zbytku w piciu, nie ma pianego hałasu, i całą zabawą, której koszt opędza się zwykle składką, cechuje pewna powaga i godność. Za codzienny pokarm służy żur owsiany i placki owsiane, zwane moskalami. Pszenna bułka uważana jest za rodzaj jakoby omasty do owsianego oszczypka, której góral używa tylko po za domem, kiedy idzie za zarobkiem lub handlem do miasta i na doły. W domu nawet ziemniaki uchodzą za potrawę zbytkową. Nabiał także nie jest pokarmem zwykłym, idzie bowiem na sery, z których sprzedaży opędzają się inne potrzeby. Tylko serwatką owczą raczą się bacy i juhasy w porze letniej. Mięso jeszcze rzadziej, tylko w dnie najuroczystsze, jawi się na stole górala.

Ziemia rodzinna Podhalan jest prawdziwą dla nich macochą, która ledwie od głodu ich chroni, a przecież kochają Podhalanie tę ziemię jak najlepszą matkę, miłością nieznaną prawie mieszkańcom równin. Biedna ona jak jej synowie, i zdaje się jakoby ta bieda tak ich do niej przykuwała. „Gdzieindziej ziemia żyźniejsza — mówią Podhalanie — ale ani chleb, ani woda, ani powietrze nie są nigdzie takie zdrowe, jak w naszych górach.“ Toż zabierz góralowi ten chleb, tę wodę i to powietrze, wypędź go z jego gór, a zatęskni tak serdecznie w obczyźnie, że zmarnieje i zginie. Kilka tygodni oddalenia od rodzinnych gór wpływa już na jego zdrowie. Zmuszony potrzebą schodzi góral letnią porą na zarobek z kosą lub sierpem aż za Wisłę, ale jak najprędzej powraca do domu i za nic w świecie nie zaprzeda się jak Szwajcar np., aby służyć w obcej stronie, choćby Bóg wie dla jakiego zysku.

Toż służą mu szczególnie to górskie powietrze i te górskie wody. Pomimo biedy bowiem, pomimo tak skromnego sposobu życia, są Podhalanie w ogóle ludem zdrowym i dorodnym. Wzrost ich więcej niż mierny, a częstokroć nawet wysoki. Budowa zgrabna, lekka a silna. Ru-

chy pełne życia i zręczności. Głowy ich, ocienione najczęściej czarnym, długim na ramiona spadającym włosem, odznaczają się nierzadko pięknością i szlachetnemi rysami

Ubior ich wprawdzie zanadto obcisły i kusy, nie jest jednak bez wdzięku i zastósowany jest ściśle do miejscowości, do wspinania się po górach. Spodnie opięte z gru-



Typy słowackie. (str. 86.).

twarzy, w których maluje się śmiałość, rozum, pewna dojrzałość i siła ducha, a czasem także przebiegłością, zuchwalstwem i chytrością, która nakazuje ostrożność.

bego sukna białego, krojem węgierskim, wyszywane kolorową włóczką. Na nogach zamiast butów, *kierpce*, t. j. kawał skóry zwiniętej w kształt trzewika bez osobnej po-

deszwy około stopy i przymocowany rzemiennem sznurowaniem, dochodzącem do wysokości połowy łytek. Ten rodzaj obuwia ma swoje wielkie zalety; noga zachowuje w niem naturalną giętkość, i dlatego górale tatrzańscy, wspinając się na najwyższe iglice skaliste Turni, nie potrzebują owych kijów żelazem okowanych i owych ostrych szy, z kieszonkami i pochwami na nóż, skałki, tytoń i inne narzędzia, spięty na przodzie całym rzędem wielkich sprzączek mosiężnych i wybity ku większej ozdobie świecącemi guzikami. Na to wszystko guńka biała, długa do bioder, bez żadnego kołnierza, spięta pod szyją i najczęściej z rękawów spuszczona, a na głowie kapelusz z dnem



Podhalanie. (str. 90.).

żelaz, jakie muszą przypinać pod swoje grube trzewiki szwajcarscy i tyrolscy górale. Krótka koszulka spięta pod szyją ogromną spinką mosiężną, często kilka łutów ważącą, a ozdobioną nadto licznemi łańcuszkami i bisiorkami. W tej ozdobie lubują się szczególniej młodzi juhasi. Pas z czerwonej skóry, na pół łokcia szeroki, a czasem i szerniskiem, wypukło-okrągłem o wąskich skrzydłach. Oto jest cały ubior górala, który oprócz kapelusza wszystek jest domowej roboty.

W pewnych okolicach podlega ten ubior różnym zmianom, ale nigdy co do kroju; są w nim dodatki i ozdoby, które młodzież sobie wymyśla: piórko przy kape-

luszu, czasem zamiast wstążek kawał skóry wybitej w rysunki różnowzorowe z guziczków mosiężnych w około kapelusza, a czasem sznurek z białych muszelek morskich zwanych kostkami, które w całej Podhalszczyźnie w wysokiej są cenie. Zresztą odróżniają się pomiędzy sobą wsie małą obwódką z różnokolorowego sukna na guni, która tem jest krótszą, im w wyższych górach wieś leży.

Podhalanki godne obok Podhalan zajmują miejsce. Powszechną cechą można powiedzieć jest u góralek szlachetność rysów; są one zazwyczaj ściągłe, drobne, proporcyonalne, ożywione okiem ciemnem, pełnem, pomiernej wielkości, ocienionem brwiami kształtnie i wyraźnie zakreślonemi, z włosem bujnym, najczęściej ciemnym. Pięknej twarzy odpowiada również piękna cała budowa, rzadko zbyt wybujała a smukła, harmonijna we wszystkich swoich częściach, z nogą i ręką małą. Są pomiędzy niemi piękności pierwszego rzędu, które stosownie przystrojone mogłyby jaśnieć na najpierwszych salonach, a które nawet w swoim prostym stroju nęcą jakimś wdziękiem niewysłowionym.

Bo też i ubior góralek, jakkolwiek prosty, odznacza się tem wszystkiem, na co dobry gust w ubiorze wiejskim zdobyć się może. Nogi swe zawijają w kierpce podobnie jak mężczyźni, ale w dnie świąteczne używają żółtych safianowych bucików na wysokich korkach, które zwyczajnie dopiero w pobliżu kościoła wdziewają. Koszulka perkalowa bez kołnierza, wycięta na piersiach i na plecach i ściągnięta sznurkiem z rękawami szerokiemi, zmarszczonemi przy pięści na czerwonej wstążeczce. Na koszuli gorset, przykrojony do kibici, z przodu zapięty na haftki, najczęściej zielony materyalny, obszyty galonem po brzegach. Spodnica obszerna, gęsto fałdowana z materyi lub perkalu w kwiaty, a na spodnicy krótszy od niej fartuszek muślinowy. Na szyi korale lub paciorki. Włosy rozdzielone wierzchem głowy na dwie strony, i splecione w jeden warkocz zakończony pękiem wstążek. Strój mężatek ten sam prawie, tylko mniej ozdób, i głowa zawiązana chustką, której końce rozszerzone spadają na plecy miasto warkocza.

Zapewnie panie nasze znalazłyby wiele do zganienia, do poprawienia w tym stroju, lecz przyznać muszą, że jest on ściśle zastosowany do tego, do czego właściwie służyć powinien ubior, t. j. do osłonienia ciała, nie karykaturując pięknych jego kształtów i nie obarczając go niepotrzebnemi dodatkami. Z tego stanowiska zapatrując się na ubiory, trzeba niestety przyznać pierwszeństwo prostym strojom owych cór tatrzańskich przed niejednym żurnalem mód paryskich. Zresztą, aby ocenić całą piękność góralskiego stroju, trzeba widzieć górali pośród ich gór, tak jak przedstawia Podhalan trzecia rycina nasza.

Jak Podhalanin czuje swoją wyższość nad wieśniakiem z dolin, tak Podhalanki znają się na swoich wdziękach i troskliwie je pielęgnują. Rzadko spotkasz góralską dziewczynę pracującą pod gołem niebem bez obwiązki, która ocienia czoło i całą twarz. Zresztą są one śmiałe, przytomne, pracowite i łagodne, a przytem trochę zalotne.

Wspomnieliśmy już wyżej o wstrzemięźliwości, rządności i oszczędności Podhalan, któremi odznaczają się korzystnie i mogliby służyć przykładem ludowi naszemu w wielu innych okolicach. Wypada nam teraz poznać i inne dodatnie i ujemne strony ich charakteru.

Podhalanina cechuje poczucie się w swojej sile i w swojej wartości, któreto poczucie zdolny jest objawić z wielką energią. Drażnione przez sąsiadów z równin docinkami i żarcikami poniżającemi górala, tem bardziej się ono potęguje i przeistacza w najdotkliwszą u górala stronę. Dotknięty z tej strony staje się Podhalanin strasznym wrogiem, i gotów jest do najskrytszej, najzaciętszej zemsty; zamyka się w sobie, staje się podejrzliwym i nieszczerym, tłumi długo gniew wewnątrz, który przy zdarzonej sposobności z tem większą wybucha namiętnością. Jest to jednakże stan wyjątkowy tylko, w ogóle bowiem Podhalanin jest otwarty i łatwowierny, a w gruncie poczciwy i szlachetny.

Uzacnia też Podhalan głęboka wiara i szczera pobożność, a podnosi wyższy nad wieśniaków innych stron stopień oświaty. Na Podhalu prawie każdy zamożniejszy góral, a nawet i wiele góralek umieją czytać i pisać. W kościele niemal każda dziewczyna modli się z książki. Oddają oni swoje dzieci najpospoliciej do szkół księży Pijarów w Podolińcu na Spiżu, zkąd wychodzą często dopiero po zupełnem ukończeniu nauk tamże udzielanych.

Ten to wyższy stan oświaty ułatwia Podhalanom nietylko utrzymanie się i wyżywienie w tak jałowej krainie, lecz owszem otwiera im drogi nawet do zamożności, jaką mało wieśniaków w stokroć żyźniejszych okolicach poszczycić się może. Niezmordowana pracowitość górala podhalskiego, przedsiębiorczy i przemyślny duch jego nie poprzestaje na jednem zajęciu, lecz rzuca się na wszystkie dostępne mu drogi do zarobku i zysku. Zabiegliwość jego przechodzi prawie w chciwość, której trudno mu jednak brać za złe, zważywszy jak krwawo dorabiać się musi grosza, jak mało daje mu jego ziemia, jak wszystko prawie sam sobie zdobywać jest zmuszony.

Głównie zajmuje się góral rolnictwem, pasterstwem i myślistwem; obok tego oddaje się jednak jeszcze tkactwu, ciesielce, kowalstwu, furmance, kupczeniu rybami, nabiałem, owcami i tym podobnym innym zajęciom.

Rolnictwo stosunkowo tylko małym Podhalanom wypłaca się plonem. Grunta ich położone na wysokości 1800‘ do 2000‘ n. p. m. wydają tylko liche owse i ziemniaki, które nazywają *grulami*. Oprócz owsa zwyczajnego białego i czarnego, który wydaje tutaj ziarno nierównie więcej mąki zawierające, niż w równinach, zasiewają jeszcze

Podhalanie *jarzec* czyli jęczmień w małej ilości, a na większe rozmiary uprawiają len, który wybornie się tam darzy. To też wyrabiane z przędzy lnianej grube płótna, są głównym produktem Podhalan, którym prowadzą handel do Węgier.

Górnictwo jest jednem z najmniej pospolitych na Podhalu zajęć, gdyż Tatry same ubogie są w pokłady górutworów kruszcorodnych, i tylko w kilku miejscach, mianowicie w Zakopanem, Kościelisku, Poroninie i Jaworzynie, kopią rudę żelazną.

W zatrudnieniach rękodzielniczych rozwija góral niepospolitą biegłość. Wyrabia np. fajki mosiężne, toporki, torby i tym podobne inne przedmioty, odznaczające się nawet pewną wyższą ozdobnością. W mieszkaniu górala często można spotkać zegary ścienne, całe z drzewa złożone i bardzo dobrze idące, które górale sami sobie robią.

Odwaga i zręczność Podhalan pokazują się w całym blasku w ich wycieczkach strzeleckich, które są najulubieńszą ich zabawą a przytem także i źródłem zarobku. Ze strzelbą na plecach, wspinając się za śladem dzikiej kozy po niebezpiecznych urwiskach po nad przepaście bezdenne, zasługuje góral prawdziwie na podziwienie. Tam wśród jego gór dopiero można ocenić go, można pojąć, zkąd się w nim bierze tyle dumy, tyle zuchwałości.

W jesieni bywa kwiczoł głównym celem łowieckich wycieczek Podhalan. Łowią oni te ptaki w sidła lub sieci i roznoszą daleko do Warszawy aż, nawet i do Wiednia.

Opuszcza też góral często swoje strony i wychodzi na roboty w kraje odległe. W czasie winobrania udają się Podhalanie do Węgier, zachodzą czasami aż do Pesztu, i powracają zwyczajnie do domu dopiero w listopadzie. Na północ idą za kośbą lub żniwem aż pod Warszawę, Pułtusk i Płock. Ale żyźniejsze okolice, które zwiédzają w czasie tych wędrówek, nie przynęcają ich bynajmniej do siebie, i z tęsknotą spieszą do „szumnych wirchów“ swoich, bo tam tylko dla nich życie prawdziwe i swobodne.

I rzeczywiście tam dopiero życie, tam poezya życia góralskiego! Jeżeli chcesz ją poznać, pomijaj wioski podhalskie i ruszaj letnią porą w Hale, zapomnij o wygódkach zniewieściałego życia miejskiego, a wpatrz się, wżyj się w życie juhasów twarde a rozkoszne, biedne a przecie tak niezrównanie swobodne, wsłuchaj się w ich śpiewy, mięszające się z głuchym szumem borów i szmerem potoków, powtarzane w tysiącznych echach po Turniach, odetchnij pełną piersią tym powietrzem napojonem balsamiczną wonią ziół — a rozkochasz się w tem życiu, w tej naturze wzniosłej, w tym ludzie.

Podhalanin jest głównie pasterzem — pasterstwo jest jego pracą najwdzięczniejszą i najmilszą. Jak bowiem we wszystkich krainach alpejskich tak i na Podtatrzu stanowi chów bydła główną gałęź gospodarstwa. Brak i jałowość roli wynagradzają tutaj rozległe i niezrównanie bujne pasze. Toż letnią porą spędzają w góry na wypas nawet z równin bydło rogate, konie, owce i kozy.

Z tęsknotą wygląda góral tej pory, kiedy będzie mógł wyruszyć w Hale ze swoim dobytkiem, aby tam zamieszkać przez całe lato. Po długiej zimie, która w Tatrach nieraz w początkach maja jeszcze bywa taka ostra i zawalna, jak w równinach chyba w grudniu — nadchodzi wreszcie oczekiwana z upragnieniem wiosna. Wyprawieni w wysokie góry na zwiady wysłańcy, przynoszą radośną wiadomość, że już Hale młodą okryły się trawą. Na to hasło w wioskach podhalskich wszczyna się ruch, jakoby w ulu pszczelnym przed wyrojem. Cała ludność krząta się z niezwykłym pospiechem; ci przygotowują naczynia do gospodarstwa szałasowego, tamci szukają sobie baców i juhasów, młodź przygotuwuje się z radością do tej kilkomiesięcznej wędrówki po Halach i Połoninach, a starsi, doświadczeni gazdowie udzielają rad, jak się zachowywać podczas ulewy i burzy, gdzie się chronić i jak stada strzedz i bronić od wilków.

Każda wieś podhalska ma po kilku a czasem po kilkunastu gospodarzy, którzy przez lato trudnią się wyłącznie wypasaniem bydła, powierzonego ich pieczy. Jednemu z takich tedy oddaje pewna część mieszkańców wsi swoje bydło na mocy zawartej z nim umowy. Taki naczelny niejako pasterz zowie się *baca* i przybiera sobie do pomocy kilkunastu pasterzy zwanych *juhasami*, którzy pod jego zostają kierunkiem i od niego zupełnie są zależni. Ich obowiązkiem jest pod nadzorem bacy, paść trzodę, pilnować jej, opatrywać, doić krowy owce i kozy, warzyć żętycę, robić masło, sery, słowem prowadzić całe gospodarstwo nabiałowe. Baca zaś, jako pełnomocnik odpowiedzialny przed właścicielami powierzonego mu dobytku, zawiera umowy o polany, na których mają się trzody wypasać, albo z właścicielami pojedyńczymi, albo z całemi gminami, urządza przenośne koszary i zakłada bacówkę, t. j. dom drewniany w pośrodku wypasów, który ma służyć za przytułek dla niego i dla juhasów, będąc oraz składem na naczynia pasterskie i na nabiał.

Wreszcie gdy już wszystko przygotowane i umowy wzajemne zawarte, przychodzi chwila wyruszenia na wędrówkę pasterską. Bace stają na czele swoich juhasów i trzód. Ci co zostają we wsi, żegnają wychodzących i odprowadzają ich gromadnie. Całe karawany wyruszają ze wsiów, kupią się po dolinach, zalewają rozległe obszary i przesuwają się powoli ku górom. Tłum ten ludzi, bydła wszelkiego rodzaju, wozów naładowanych różnemi sprzętami, rozdziela się dalej na różne drogi i w różnych dąży kierunkach. Przez trzy dni zwyczajnie snują się coraz nowe tabory dolinami, aż wreszcie wszystkie ponikną w wąwozach, w dolinach i po wioskach zapanuje znowu cisza, ale zato wszystkie góry i lasy zapełniaja się gwarem życia,

zaludnią się trzodami, i ze wszystkich stron usłyszysz dzwonki zawieszone u szyi bydląt, granie dudek pasterskich i skrzypic, ze wszystkich polan rozlegną się śpiewy, a nocną porą zaświecą ognie po nad lasami po wysokich Halach, i Turnie setnem echem powtórzą hukania pasterzy i pasterek.

O wtedy ruszaj w Hale! W każdym szałasie i w każdej bacówce przyjmą cię gościnnie, serdecznie.

„Witajcie, witajcie! — a siądźcie i odpocznijcie, "— powita cię juhas lub baca i ugości wszystkiem co ma najlepszego, więc skopkiem żętycy słodkiej, lub mleka, serem świeżym lub oszczypkiem. A potem zarzuci cię pytaniami jak człowieka, co z innego przybywa świata: „A zkąd przychodzicie? — co słychać w równinach? — czy owiesek już tam schodzi? — a jak się wam podobają nasze Hale?"

W każdym szałasie, szczególniej owczym, uderzy cię przyjemnie porządek i karność. Każdy tam ma swoje osobne zajęcie i swego pilnuje obowiązku, a baca rządzi całą czeladką. Skoro owce zbiorą się przy szałasach, rozdzielają dójki od baranów. Pierwsze powracają na południe do szałasu i trzy razy dziennie bywają dojone; drugie pędzą na cały dzień w Hale i na wirchy, i dopiero na noc zganiają do koszary. Nieodstępnemi towarzyszami każdej trzody i wiernymi pomocnikami juhasów są psy, właściwej nieznanej w równinach rasy, zupełnie białe, z długiemi obwisłemi kudłami i podłużnym pyskiem. One to zmuszają owce trzymać się gromady na pastwisku, a w nocy strzegą od napadu wilka lub niedźwiedzia. Juhasi właściwi pasają tylko owce, woły mają swych wolarzy, a za krowami chodzą dziewczęta i chłopaki podrostki, krowiarki i krowiarze.

Trzeciego dnia po wypędzeniu do Hal owiec, przybywają gazdowie ich właściciele do szałasów na tak zwany *mir*, t. j. na umówienie się, ile każdy gazda ma pobierać co tydzień sera z wydoju swojej trzody od bacy. Po tych odwiedzinach pozostają już trzody pod wyłączną opieką baców, a gazdowie nie oglądają ich już więcej, aż dopiero kiedy z początkiem jesieni powrócą do wsi.

Życie pasterskie toczy się jednostajnym trybem od dnia do dnia, wesoło, swobodnie, w ciągłym ruchu, w ciągłem błąkaniu się z owcami po stromych Turniach, przeplatane od czasu do czasu myśliwską rozrywką. Ale kapryśny klimat Tatrów nierzadko przerywa to poetyczne życie na łonie wspaniałej natury, i zmusza baców i juhasów do opuszczania Hal przed czasem. Wśród lata nieraz okryje się niebo czarnemi chmurami, luną nawalne deszcze, ze wszystkich wąwozów zakurzy się, Turnie *oczepczą* się na długą słotę, a zdarza się czasami, że i kilka stóp grubą powłoką śniegu się okryją. Wówczas owce tracą mleko, jagnięta marzną, konie spłoszone rozbiegają się po górach i często giną gdzieś w wąwozach, nie mogąc znaleść drogi do szałasu. Taką nagłą zmianę powietrza nazywają Podhalanie *psotą*. Psota ta wypędza pasterzy z szałasów i bacówek na zaciszniejsze lesiste upłazy, a gdy dłuższy czas nie rozpogodzi się niebo, zniewala ich do powrócenia do wsi wraz z trzodami.

Od swobody pasterskiego życia krok tylko jeden do swywoli zbójeckiej. Jakoż rzeczywiście zbójectwo do niedawna jeszcze było bardzo zagęszczone u ludu podhalskiego. Dzisiaj czas i czujność rządu przytłumiły je, lecz nie wykorzeniły pociągu do zbójectwa z ducha góralskiego. Zbójnik jest w wyobraźni górala jakimś jakoby ideałem, wywołuje on z pewną tajemną chlubą pamięć zbójców wsławionych, otacza ich jakimś tajemniczym urokiem, śpiewa o nich pieśni i przechowuje tysiączne podania. Zbójectwo stanowi jakoby najgłówniejszy żywioł cielesny poezyi góralskiej, równoważący w niej żywioł duchowy świata nadzmysłowego, żyjącego w wyobraźni Podhalan.

Ta uwaga przeprowadza nas z życia rzeczywistego na pole podań i poezyi ludu podhalskiego. Jest to pole nadzwyczajnie rozległe. Wszystkie ludy górskie odznaczają się wyższą poetycznością i rozbujaniem wyobraźni daleko śmielszem, daleko polotniejszem, niż mieszkańcy równin. Wpływa na to niezawodnie potęga natury górskiej, która o ile przytłumiająco działa na zimny, spekulacyjny rozum, o tyle więcej podnieca fantazyę, wiarę w jakieś tajemnicze siły i zabobonność. Ulegli też temu wpływowi najzupełniej górale tatrzańscy. Wyobraźnia ich stała się niewyczerpanem źródłem najpoetyczniejszych urojeń, któremi zapełnili oni i ożywili cały swój świat. Każda pieczara otrzymała swego ducha tajemniczego, przyjaźnego lub wrogiego ludziom; przepaściste, ciemnemi borami okryte wąwozy zaludniły się Dziwożonami; z każdą Turnią, z każdem jeziorem związało się jakieś podanie fantastyczne; rzeczywisty świat zwierzęcy pomnożył się wyrojonemi dziwotworami, a pewne rośliny uznane zostały za obdarzone szczególniejszą mocą nadprzyrodzoną; jednem słowem w oczach Podhalan napełniła się cała martwa przyroda jakimś wyższym duchem, oblekła się urokiem czarującej fantazyi i poetycznej tajemniczości.

Nie mamy miejsca, aby tutaj rozsnuć cały ten poetyczny, tęczowy świat wyobraźni góralskiej. Jestto jakoby nieprzejrzana łąka pstrząca się milionami kwiecia i zmieniająca barwy za każdym wiatru powiewem. Poezya ludowa i podania ludowe mają rzeczywiście wiele wspólnego z kwiatem polnym, ręką stwórcy zasianym ku ozdobie łanów zbożowych i łąk. Tam wdzięczą się one niezrównaną krasą, wabią i zachwycają oko — ale gdy je zerwiesz, gdy przesadzisz w wazon, już ta krasa z nich znika, już nie są tem czem były, jakkolwiek mają te same barwy, tę samą woń, powiedziałbyś pozostało ciało, ale uleciała dusza. Toż samo i poezya ludowa. Aby ją zrozumieć, uczuć, poznać całą jej piękność, trzeba słyszeć ją śpiewaną na gruncie jej rodzinnym i głosem wiejskiej dziew-

czyny — aby pojąć całą wartość poetyczną podań ludowych, trzeba pójść pod te strzechy, pod któremi one się zrodziły, trzeba zaglądnąć w te bory, przypatrzeć się tej naturze wspaniałej i temu życiu, które do nich dostarczyły wątku. Przeniesione w książkę, uwięzione na papierze czernidłem drukarskiem, zbledną one, zwietrzeją jak zerwane kwiaty polne, uleci z nich duch żywy, a pozostanie tylko martwa skorupa słów.

Trzeba wyobraźni poety, aby potrafić odkraść i zachować ich wdzięk samorodny, oryginalny, w kopii artystycznej. Kto więc chce poznać bliżej ten świat poezyi i fantazyi Podhalan, niechaj czyta „Sobótkę“ Goszczyńskiego, do której wybornym komentarzem posłuży mu jego „dziennik podróży do Tatrów“. Do tego obrazu pełnego życia i barwy, dorzuca pęczek kwiatków Zejsznera zbiorek „poezyi ludu Podhalan czyli górali Tatrowych“. Kończąc nasz urywkowy szkic odsyłamy więc czytelników do tych książek, jeżeli są ciekawi zaznajomić się bliżej z światem poetycznej wyobraźni ludu podhalskiego.

Łucyan Tatomir.

GÓRSKA DROGA.

GOŚCINNYM GÓRALOM Z NAD ŚWIÉCY

POŚWIĘCA

Autor.

....Jedźmy, nikt nie woła.
Ad. Mickiewicz.

WSTĘP.

I.

ŻÓŁTY PAJĄK.

Pająk na mej sukni, żółty pająk z rana —
Cóż to za wróżba dla mnie na tę drogę leśną?
Podróż w młodych pań gronie maż mi być boleśną?
Czy komu żółcią może ma zajść twarz wiośniana?

Ach, moja dusza tak już w ogniu hartowana!
Ona wyjdzie ztąd cało — wszak tak?... lecz być może,
Iż której z towarzyszek zbledną jagód róże?...
O nie, nie, droga dla nich tak gładko usłana!

Więc może ona, ona, sennych chmur królowa,
Spłynie dziś za mną duchem i zazdrością spłonie?...
O pamięci! z najgęstszą zstąp tutaj kotarą
I zasłoń ją przedemną; ona dziś się chowa
Jak syrena po śpiewie w złote szczęścia tonie,
Więc cóż mię jeszcze nęci?... a kysz, jasna maro!

II.

WYJAZD.

Z drogi więc, żółty tkaczu, fałszywy proroku!
Depcę cię — niech twój widok czoła mi nie chmurzy;
Wózek rusza, toczą się wózki z trzech podwórzy,
Pogoda w każdej twarzy, uśmiech w każdem oku.

Pogoda? uśmiech? — o tak! choć dzisiaj w pomroku
Zaćmiła nam się gwiazda, choć jutro już może
Nad cichemi niwami krwawe zejdą zorze,
Myśl buja już jak rybka w kryształach potoku.

Jasno, błogo, przejrzysto mi, bo dopalony
Płomień ofiarny w sercu i piekło wyparte,
A mąż się już narodził o duszy stalowéj;
Więc zda mi się, iż widzę już duchów legiony,
Które mam poprowadzić na harce zażarte,
I słyszę już w powietrzu wielki hymn bojowy.

III.

JAZDA LASEM.

Na koziołku Pan Jędrzej, właściciel powózka,
Słomianym kapeluszem by latarką świeci,
Przy nim furman Mikołaj, ja w siedzeniu trzeci,
Przy mnie trzy dziewic — oto leśna jazda ruska!

Wózek nasz w aryergardzie; komenda dziś pruska;
Więc na czele, na pierwszym wózku Pan Hak z żoną;
Starsi razem; przed nami, w środku znowu grono
Z dwóch panien, zrosłych sercem niby z brzózką brzózka.

Toczą się wózki, toczą, dziewczątka szczebioczą,
Drzewa szumem im wtórzą, ptaszki z dali spiewem.
Ja tylko milczę więcej i pan Jędrzej milczy.
Czemu? — czemu nam jeszcze skrzydła nie furkoczą?
O nam one zafurkną tylko burzy wiewem,
Nasz szczebiot będzie chyba ryk lwi albo wilczy.

IV.

PIELGRZYMKA PIESZA O ZMROKU.

Wjechały wózki w gęsty, ciemny bór głęboki —
Coraz przykrzejsza droga, coraz dziksza puszcza —
Więc gromadka podróżna na ziemię się spuszcza,
W tyle wiezie wóz jeden prowiant i tłumoki.

Droga twarda: tu sterczą odłamy opoki,
Tam o skrętach wężowych starych drzew korzenie,
Tu przed nogi się kładą rwiące gór strumienie,
Tam kałuża, kąpiułka żabki sinookiej.

Niby w nocnym kadrylu czyszcowe duszyczki,
Ciągną sznurkiem wędrowcy: ten tej poda rękę,
Ten temu rzuci słowo, ci mkną za tamtemi...
I ja idę — lecz czemuż jednéj wciąż twarzyczki
Wzrok szuka? czemuż jednę widzę wciąż sukienkę,
Jak sztandar?... czyż ja zawsze ów słaby syn ziemi!

V.

SPOCZYNEK PRZY OGNIU.

Obóz nocny, po trudach spoczywa drużyna —
Ciemno, gwiazdy w mgle jeszcze, tylko pośród boru
Płonie ogień — bór w koło brzmi od rozhoworu —
Za siedzenie pniak służy, a za stół darnina.

Myślałbyś, że to gebrów pielgrzymia rodzina
Modli się pod drzewami i Bogu płomieni
W darze napój i ciasta stawia, bóg zaś cieni
Z za chmury się przygląda i kir swój rozpina.

I ja siedzę przy ogniu, a me biedne serce
Jakiś dziwny niepokój i zamęt owłada:
Nowy, słodki żar w pierwszej błysnął już iskierce,
Nowa postać promienna w duszę się zakrada;
I tylko burza świata, co w dali szaleje,
Trzyma duszę przymkniętą, w serce chłodem wieje.

VI.

KONCERT ŻABEK.

Minęła już godzina leśnego popasu;
Więc jak ptactwo, gdy chmurą wzleci z żerowiska,
Kryje się pod liść drzewa — kupka się znów ściska
I szuka nocnej leży pod dachem szałasu.

Starsi upragnionego zażywają wczasu,
Pan Jędrzej ściele koce, służba znosi rzeczy,
W tem nagle przed szałasem chór żabek zaskrzeczy,
Dźwięczny, słodki, figlarny, istne dziwo lasu.

Kwa, kwa, gru, gru, gru, cztery dyszkancików spiewa,
Z niemi piąty głos ludzki w harmonją się splata,
Niby z liściem zielonym śrebrny kwiat jaśminu —
Wszystko figiel dziewczęcy!... Dziwują się drzewa,
Że się w żabki zmieniły jasne panie świata —
Pewne, że to królewne z starej kazki gminu.

VII.

NOCLEG.

Koliba z kory, w środku ogień w dymu chmurze,
Około drzemią pół siedząc, pół leżąc, w dwóch rzędach,
Tu mężczyźni, tam panie, niby w bliźnich grzędach
Warzywo i kwiat barwny, łopuchy i róże.

Tu siostra obok siostry, tu matka przy córze,
Tu Polka przy Prusaczce na jednej pościeli,
Naprzeciw znowu Polak z Niemcem pościel dzieli,
W zgodzie, jakby to było gdzieś w niebios lazurze.

Wszystkich kryje koliba; jeden tylko gardzi
Dachem z kory; pod skrzącą gwiazd on legł oponą,
Jako Arab, co strażą leży pod namiotem...
O patrz się w gwiazdy, panie Edwardzie, mnie bardziéj
Ciągną dziś te światełka, co tam w oczkach płoną
Córy twej czarnobrewej, ja gardzę gwiazd złotem.

VIII.

PRZEBUDZENIE.

Noc minęła bezsennie prawie, bo co chwila
Jak szmermel, co z pod trawy sypie skier strumienie,
Szept lub chichot panieński rwał półjawne śnienie;
Darmo w gromach i groźbach pan Hak się wysila.

Darmo matki prosiły o ciszę: motyla
Fantazya panien śmiechem rzucała bez przerwy,
Iż poważnym nie zostałby i ptak Minerwy.
Zkądżeż w sercu mem zrywa się ta ćma mogiła?

Zkąd ten ołów, co cięży wciąż na skrzydłach duszy?
Otwarła oczy, wzrok jej zeszedł się z mym wzrokiem:
Raźniej na chwilę w żyłach cała krew się ruszy —
Już szerzej się rozchyli serce — w tem obłokiem
Czarnym znów zajdzie czoło, zmroczą się znów myśli
I głos rzecze: Na znaki czekaj, co duch kréśli.

IX.

SPIEW.

Dzień zawitał, drużyna już po rannej kawie,
Na dworze, przed kolibą toczy się gawędka
Żartem tkana, poufna, urywana, prędka,
Ta na kłodzie, na miękkiej ten siedzi murawie.

W tem ktoś pieśni zażąda. Wszyscy wnet ciekawie
Nadstawią uszu, w jedno wnet się skupią kółko;
Pieśń Körnera zadzwięczy jak wiatr nad rzeczułką:
Mnie się zdaje, iż w bitwy stąpam już kurzawie.

Wrą działa, dzwonią miecze, pryskają granaty,
Głos komendy się miesza z bębnów grzmieniem głuchem,
Niebo w dymie, w pupurze ognia nikną ludzie.
Gdzie w kul deszczu ognistym drzą sztandaru szmaty,
Ja mknę, nie człowiekiem już, ale czystym duchem;
Bóg w górze — piekło w dole — cud idzie po cudzie.

X.

SPUSZCZENIE STAWU LEŚNEGO.

Przebrzmiał śpiew, ćma wędrowna stoi nad potokiem,
Co wśród borów zieleni, sztuką spętan pruską,
W staw rozlany, śrebrzystą fali świéci łuską,
Niby śpiący wąż, w śmierci milczeniu głębokiem.

Pozór to śmierci tylko; oto śmiałym krokiem
Kroczy tam wódz wyprawy po nadwodnej belce:
Skinął, a dech już burzy w każdej drga kropelce,
Rzekł słowo, a staw cały znów rwiącym potokiem.

Zbudził się ze snu potwór. Któż go teraz zmoże?
Huczy, wre, kamień toczy, chwyta na grzbiet drzewa;
Wyrzuca w górę pianę, mętem wzburza łoże;
Tu wirem w dół się zwija, tam nad brzeg wylewa;
Myślałbyś, że to nowy, nie już z niebios stropu,
Lecz z wnętrza ziemi na świat płynie zdrój potopu.

XI.

TĘCZA NAD WODĄ.

Lecz za mrokiem dzień idzie, pogoda za burzą,
Więc i tu z mgły perłowej w pył rozbitej fali
Jasna tęcza wytryska, by z niebieskiej dali
Znak dobry, nad tą górską świecący podróżą.

Znak dobry!... Więc i mnie już nieba się rozchmurzą?
O nie, nie dla mnie jeszcze błękit, ja ptak słoty:
Gdy błyska słońce, smętny zniżam moje loty,
W niebo patrzę, gdy góry na deszcz się zakurzą.

Więc świeć drugim, promienna ty wstęgo pogody!
Nieś im słońce na ścieżkę życia; mnie zygzaki
Błyskawic niechaj świecą, mnie niech ryczą gromy,
Mnie niechaj wprzód od wichrów zbałwanią się wody;
Potem dopiero wznijdź mi, tęczo, a w gwiazd szlaki
Duch mój wzleci i blaskiem błyśnie proch znikomy.

XII.

POWRÓT.

Jedziemy znowu wózkiem, przy mnie czarnobrewa,
W skromnej, szarej sukience, z wieńcem z mchu na głowie,
By dryada, co leśne swe rzuca pustkowie,
Strojna w kwiecie i w zieleń rodzinnego drzewa.

Lecz nie sama z pieśniarzem górska jedzie dziewa:
Naprzeciw matka, obok wierna siedzi drużka;
Wzrok matki to jak szklanna bańka dla kwiatuszka,
Słuch drużki to jak tyczka dla słabego drzewa.
Bańka strzeże od muchy, strzeże od robaka,
Tyczka broni od wiatru. Lecz czyż ja jak mucha
Brzęczę, lub jak robak jasny kwiat roztoczę?
Czyż jak wiatr ruszę sercem-listkiem? — ja do ptaka
Podobny, co go pędzi grad i zawierzucha,
Co spadłszy z chmur, tchu czerpie, by znów mknąć w przeźrocze!

XIII.

WE WSI.

Stanął wózek wśród sioła, rozdziela się grono,
Żegnam więc czarnobrewę, żegnam towarzyszki,
Po chwili znów sam jestem i u końca ściéżki,
Wiodącej w chatę, co dziś obcemu ochroną.

Wchodzę w izbę — usiadam. Jakże pod zasłoną
Samotności podumać miło! Myśl mię niesie,
Kędy ślady stóp moich w ciemnym znikły lesie;
Fantazya czarem swoim wskrzesza dal minioną.

Wraca scena za sceną, obraz za obrazem,
Jak kolumna ruchoma za wodza rozkazem;
Jak figurki świetlane z magicznej latarki,
Ciągną w świetle magicznem urocze poczwarki;
Aż nadciągnie na duszę znowu smętna chmura,
Przyćmi oko, a dłoni każe jąć się — pióra.

XIV.

KODA.

Chwyciłem więc za pióro, na kołku wiszące,
Aby przelać na kartę jasne ducha tchnienie,
Aby, nim widmo duszy gęstsze zmroczą cienie,
Mieć je tam wiecznie żywe, wiecznie światłem lśniące.

Dziś dopełnia się karta, dziś już trzymam końce
U wieńca pieśni, co go zwolna plotła ręka,
A gdy w rymie znów życia rozpływa się męka,
Nad mą głową tymczasem nowe zeszło słońce.

I oko mam już inne, jaśniejsze niż pierwsze,
I w duszy mej przestroniej, i serce me szersze,
I nąrzędzie gędziebne nowe dzierzę w ręku,
Dźwięk jego huczeć będzie wśród orężów szczęku:
Grzmi jak grzmot, jak wiatr szumi, rzuca żar jak bomba,
To nie arfa, nie lira, to już sądu trąba.

1866.

Jan Berdo.

BIALI I CZARNI.

POWIEŚĆ Z ŻYCIA LITEWSKIEGO.

Skreślił Jan Sygma.

I.

Podczas skwaru lipcowego o godzinie popołudniowéj na ganku wiejskiego dworku litewskiego siedziała młoda panienka lat ośmnastu, w białą sukienkę muślinową u góry przysłaniała naturalna koafiura czarnych włosów, niby dwie gwiazdeczki połyskiwało się dwoje ocząt barwy niebieskiéj.

— Dziś panienka już będzie grać — rzekła Antosia, słu-



Na ganku wiejskiego dworku litewskiego siedziała młoda panienka... (str. 96.)

przybrana. Ponieważ było gorąco, które jeszcze bardziej zwiększało znużenie i krzątanie się koło gospodarki domowéj, więc powiewem małéj chusteczki z literą A zmuszała spokojne powietrze do orzeźwiających na nią działań. Na białéj a zarumienionéj w téj chwili twarzyczce, którą

żąca, zbliżając się do ganku.

— Zkąd wiesz?

— Wiem, bo stroiciel jedzie, wystroi fortepian, panienka będzie grać, otworzy okno, a ja sobie będę słuchać, bo to tak ładnie jak panienka gra.

— Gdzieżeś widziała stroiciela?

— Ot tam — rzekła, wskazując na zdala widniejący pagórek.—Ja stroiciela nie znam, bo on nigdy tu jeszcze nie był, alem zaraz poznała folwarcznego konia i Wasyla parobka.

Panienka wstała i poszła do pokojów.

W saméj rzeczy na pagórku ukazał się mały wózek jednokonny, obłokami kurzu otoczony. Spieniona od gorąca szkapa robocza zwolna postępowała, obojętna na tęgie uderzenia bata, którym ją Wasyl popędzał. Chociaż stępo, szła jednak naprzód, ku czemu nie gęste razy, lecz popychała ją nadzieja, że wkrótce zostanie wyprzężona, potarza się po murawie, pójdzie do stawu, aby się tam wody napić, i z dobrym apetytem trawę jeść będzie. Takie były marzenia chudéj szkapy roboczéj, których siłą niejako duchową, bo fizycznych już jej brakło, dowlekła wózek do domu i zatrzymała się przed gankiem tryumfująco pokiwując głową.

Z wózka wysiadł młody człowiek lat 25. Wzrostu był słusznego i mężny. O twarzy bladéj, z dużą brodą, rysów regularnych, których męzką piękność uzupełniał dziwnie inteligentny wyraz czarnych oczu. W tych oczach wyraźnemi zgłoskami był wypisany paszport na Sybir. Moskal spojrzawszy w nie, od razuby orzekł, że tylko wolnodumiec lub rewolucionista takie wejrzenie mieć może.

Dla uniknięcia niebezpiecznéj tego rodzaju opinii wobec Moskali, stroiciel blask oczu swoich wyrazistych pokrywał niebieskiemi okularami, których szkła w kolor ciemno-brunatny wpadały i dobrą stanowiły zasłonę.

Otrząsnąwszy się z kurzu wszedł do przedpokoju.

— Czy w domu panicz — zapytał służącego.



Słowo honoru szarak — od razu ani pisnął... (str. 101.).

— Panicza nie ma, ale może niedługo nadejdzie, jeszcze o świcie dzisiaj poszedł na polowanie. Czy pan stroiciel fortepianów?

— Tak jest.

— A to proszę pana do pokojów.

Stroiciel wszedł i począł się rozglądać w otoczeniu dość gustownie urządzonego saloniku. Na oknach stały szklanki ze świéżemi kwiatami, na stoliku leżał ostatni numer Tygodnika Ilustrowanego. Panna Anna, gdyż z imie-

nia panienki tajemnicy czynić nie myślę, chwilę tylko kazała na się czekać. Poprawiła nieco włosów, nie czyniąc jednak żadnej zmiany pod względem toalety. Wyszła śmiało, spokojnie bez żenady, pewna że będzie miała do czynienia ze starym oryginałem, jakimi są najczęściej prowincyonalni stroiciele, osobny typ społeczeństwa stanowiący. Jakież jej było zdziwienie, gdy wszedłszy do salonu zamiast zgrzybiałego starca ujrzała przed sobą młodego i przystojnego bruneta. Rumieniec wystąpił na jej twarz, chciała cofnąć się, bo nie wypadało, aby sama panna mężczyznę w domu przyjmowała. Nie cofnęła się jednak, bo już było za poźno, gdyż szybko biegnąc znalazła się w środku salonu, zanim refleksja względów na formy towarzyskie ogarnąć ją zdołała.

— Mam zaszczyt przedstawić się — rzekł mężczyzna pokornie kłaniając się. — Jestem Jan Klecki, prowincjonalny stroiciel fortepianów.

— Niech pan siada.

— Ślicznie dziękuję.

— Pan zapewne świeżo przybyłeś w nasze okolicy.

— Tak jest, niedawno.

— Zkąd jeżli wolno?

— Z kowieńskich stron... Jak widzę—dodał po niejakim czasie milczenia, patrząc w stronę fortepiana—państwo macie śliczny instrument, Wirta czy Bekera?

— Bekera z Petersburga, jeszcze przez matkę moją nieboszczkę sprowadzony.

— Bekera — odrzekł powstawszy i zbliżając się do fortepiana. Dobra to jest fabryka. Tę tylko ma wadę kardynalną, że wszystkie fortepiany z niej pochodzące odznaczają się niezmiernie twardą klawiaturą. Rękom męzkim to nie szkodzi, ale dla niewieścich cokolwiek za męczące.

— O, — odrzekła uśmiechając się Anna— mój fortepian stanowi wyjątek; całkiem rozstrojony i klawiatura rozsłabiona. Pokonałam ją, grając po całych dniach.

— Czy kamerton jest?

— Znajdziesz go pan w tej oto etażerce między nutami.

Klecki wziął kamerton, otworzył fortepian, dotknął kilku klawiszów i od razu do rzeczy przystępując, zajął się żmudną pracą strojenia.

Anna nie przeszkadzając mu wzięła Tygodnik ze stolika i udała się do swego pokoiku panieńskiego, w pobliżu sali znajdującego się. Pokoik był umeblowany gustownie, lecz skromnie. Na stoliku stało małe lusterko, w które często lubiła zaglądać, nie dla przypatrzenia się jednak wdziękom. Wiedziała że jest przystojną, lecz to ją wcale nie obchodziło. Patrząc w lustro na jedną tylko część twarzy swojej zwracała uwagę, a mianowicie na oczy. Przypatrywała się, co jej oczy niebieskie wyrażają, czy w samej rzeczy spogląda niemi jej dusza, coraz bardziej rozwijająca się. Słabszy czy żywszy blask oczu, zależny od stanu fizjologicznego, tłumaczyła w sposób wyłącznie psychiczny jako znamię danej chwili usposobienia. Zdawało się jej, że im więcej będzie czytać i myśleć, tem bardziej myślenie to zapromieni z jej oczu. Do tego też najwięcej dążyła i w tym punkcie najbardziej interesowała się sobą. Przy lusterku, dokąd zaglądały jej oczy fizyczne, leżał dzienniczek, dokąd zaglądał jej wzrok duchowy.

Dzienniczek elegancko oprawny, małą kłódką zamknięty, zawierał jej tajemnice, które lubiła niekiedy w pamięci odświeżać.

Do pierwszej kartki czystego papieru był przypięty szpilką mały bukiecik z nieśmiertelników, zebranych na grobie rodziców, których jeszcze dzieckiem będąc utraciła. Potem następował szereg notatek krótkich, gdzieniegdzie ołówkiem tylko i w rozmaitych czasach spisywanych. Na jednej kartce było napisano:

„Smutno mnie bardzo po śmierci drogich rodziców.“ W innem miejscu: „Dzisiaj t. j. dnia 11. maja 1859 roku stryjenka przywiozła mnie do Wilna. Klasztor Wizytek podobny do więzienia... Poco mię tu oddali?... Nie chcę być zakonnicą, ja ztąd ucieknę, ale kędy?... Nie sądziłam, że mnie tu będzie tak dobrze. Mniszki mówiły, abym ukochała cnotę... Co to jest cnota?... Wyobrażam ją sobie w postaci gwiazdki na tle lazuru świecącej... Przełożona mówiła, że Moskale to są dzicy ludzie i że niesprawiedliwie panują nad Polską... Nie cierpię Moskali, wyobrażam ich sobie jako zwierzęta... Bardzo lubię lekcye historyi polskiej.“

Na jednej z dalszych kartek, w dwunastym roku życia pisanych, był następujący napis: „Dzisiaj zaszedł fakt niezmiernie ważny. Po odbytej spowiedzi, uczyniłam postanowienie nigdy nie iść za mąż.“

Wyrazy powyższe były skreślone ręką dziecinną i zajmowały półtora wiersza, poczem następowało miejsce czyste.

Dalej zaś ta sama ręka, lecz znacznie wprawniejsza do pióra, w wieku już dojrzalszym dopisała: „jeżeli nie znajdę takiego, jakiego obraz dusza moja wypielęgnowała.“ Ten więc dodatek obalał najzupełniéj myśl zasadniczą pierwotnego postanowienia, przypuszczając możliwość związku. Anna sama się śmiała z postanowienia dziecinnego przedsięwziętego podczas klasztornego usposobienia, i czuła, że zmiana w niem jest konieczną. Jeżeli nie z innych względów, to chociaż dlatego, iż towarzystwa, któreby przerwało jej samotność, więcej potrzebowała niż inne panny. Była bowiem sierotą; stryjostwo zastępujący czas jakiś rodziców, wyjechali na kilkoletni pobyt do Szwajcaryi. Pozostała sama, zmuszona mieszkać z bratem, acz starszym co do wieku lecz dzieckiem najzupełniejszym pod względem charakteru i umysłowego rozwoju. Powierzywszy gospodarkę ekonomowi, który największych nadużyć dopuszczał się na korzyść własnej kieszeni, młody brat Ignacy a raczej Ignaś, bo mimo dwudziestu czterech lat zawsze Ignasiem go nazywano, z największem upodobaniem oddawał się myślistwu. Cale dnie spędzał na polowaniu pozostawiając siostrę

bez żadnego towarzystwa. Oddana gospodarce domowej z młodą gorliwością biegała z kluczykami, doglądała ogródka, sadziła i polewała kwiatki, i przyrządzała leki domowe, co stanowiło łącznik, za pośrednictwem którego zbliżała się do ludu w charaterze opiekunki.

Chwile wolne od prac powyższych poświęcała czytaniu i rozmowom z dzienniczkiem, mającym dla niej znaczenie żywej osoby, z ktorym niekiedy płakała, a innym znów razem pieszcząc go, niby pupila, bawiła się i śmiała serdecznie. Było jej dobrze, czuła się szczęśliwą wśród kwiatów, których jej dostarczała natura, i w pośród kwiatów poezyi, jakich dostarczał jej duch w formie książkowego słowa występujący. Lecz czuła, że tak zawsze pozostać nie może. Pojmowała, że inne jest posłannictwo kobiéty, i że w przyszłości oczekuje ją spełnienie obowiązków, jakie ma względem społeczeństwa. Urocze poetyckie chwile panieństwa były epoką przemijającą. Możeby się nigdy nie chciala z nią rozstać, gdyby pragnieniu temu nie stały w drodze wskazówki praktycznego rozsądku. Wiedziała, że najświeższe róże więdną, listki z nich opadają i niszczą się, jeżeli nie zrobiono z nich praktycznego użytku. Czuła, że i ona teraz kwiatkiem wiejskim będąc nie zdoła utrzymać się zawsze w tej świeżości myśli i wdzięków, w jakiej się dotąd zachowała. Czuła, iż zbliża się czas, w którym może wyjdzie za mąż.

Nie lękała się jednak zostać starą panną, najprzód dla tego, iż ten stan nie obudzał w niej wstrętu; a potem dla tego, że wybór od niej samej zależał. Chodziło tylko o to, aby przyjęła ofiarowane sobie hołdy od wielbicieli, których wielka była ilość. Współubiegano się o znaczny posag, który w dzisiejszym wieku praktycznym kładniemy na czele, dalej o wdzięki, wykształcenie i dobroć charakteru.

Wszystkie te przymioty bez zaprzeczenia posiadała Anna Olska. Lecz mając je, słuszne prawo mieć mogła do żądania, aby i konkurent przeciwstawił podobne ze swej strony kwalifikacje. O majątek nie dbała, bo któraż z panien tego usposobienia jak ona, marzących, w niebo zapatrzonych, może myśleć o rzeczy tak znikomej, jaką jest majątek. Chodziło jej o to, aby konkurent przedewszystkiem był dobrym Polakiem, sprawie narodowej zasłużonym, dalej, aby cokolwiek miał wykształcenia i chociaż troszeczkę serca, bo wiele wymagać nie mogła, instynktowo realizm tegoczesny odgadując. Lecz troszeczka — było warunkiem *sine qua non.* Oprócz tych był jeszcze malutki waruneczek bodaj najważniejszy, aby konkurent przypadł jej do serca. Wspomnieliśmy o nim najpoźniej, bo ostatnie miejsce zajmował w główce Anny, jeżeli po niej kiedy przesuwały się myśli o małżeństwie. W okolicy, w której mieszkała, najprzód nikt jej nie przypadł do serca, a potem nie było młodzieży, którаby i innym wzmiankowanym kwalifikacjom odpowiedzieć zdołała. Najprzód nie było młodych patryotów; ci bowiem w ostatniem powstaniu r. 1863 albo polegli albo zesłano ich na Sybir. Pozostała nieznaczna garstka młodzieży, która podczas ogólnego entuzyazmu narodowego umiała zachować spokój, spokój próżni w beczce, neutralność, jaką tchórzostwo tylko zapewnia. Tacy ludzie, chociażby jak Krezus bogaci, a nawet rozum Solona mający, nie mogli pukać do drzwiczek serca panny Anny, a jeźli pukali, to na próżno, gdyż wstępu tam dla nich nie było. W skutek takiego stanu rzeczy panna Anna nie kochała nikogo z ludzi po ziemi chodzących, lecz miała kochanka gdzieś wysoko błąkającego się po eterach, a wyobraźnią jej uidealizowanego.

On gdzieś jest — czuję to po serca biciu,
Gdzie? dotąd nie wiem. — Może gdzie na słońcu,
Lub jakiej gwiaździe — spotkam go na końcu,
Lecz może aż w innem życiu.

Improwizacyę tę Deotymy, w jednym z ostatnich numerów Tygodnika Ilustrowanego umieszczoną, po kilka i kilkanaście razy odczytywała, aż wyuczyła się na pamięć — więcej niż wyuczyła się, bo przyswoiła sobie tę obcą formę nadobną, w którą się przywdziały własne jej myśli. Czekała więc kogoś, jakiegoś gońca z niebios, wiedziała, że on gdzieś jest, ale nie tu, nie przy niej; nie miała jednak powodu już zwątpić, że go na ziemi nie spotka, i spotkanie to aż do przyszłego życia odkładać, jak to Deotyma uczyniła. W tym względzie różniła się z poetką. Taki nastrój ducha, pod wpływem oczekiwania kogoś będącego, sprawiał, iż ciekawie przypatrywała się każdemu z młodzieńców świeżo poznanych. Na widok nieznajomego, zwłaszcza jeźli nie był odrażającej powierzchowności — serce jej przyspieszało tętno, oddech stawał się szybszym, i zapytywała, czy to nie on. *On* oznaczało kochanka idealnego. Nieznajomy młodzieniec, jeźli się nie odezwał jakąś struną fałszywie w jej sercu brzmiącą, odrazu ją interesował, ponieważ był jeszcze otoczony mgłą tajemnicy, po za którą wdzierając się wyobraźnia panienki dostrzegała cudne kwiaty, aż nie ukłuła się o ostrze cierniów, lub nie dotknęła brzydkiego zielska — gdy się przekonała, że poznany młodzieniec nie odpowiedział oczekiwaniu. Wyraz poznany młodzieniec jest czysto ogólny, pod który nie podciągnęliśmy żadnej osobistości, a tem mniej stroiciela. Nie miała powodu badać człowieka, którego położenie społeczne dzieliło od niej przestrzenią niemal nie do przybycia. Jako świeżo poznany zainteresował ją wszakże w pierwszej chwili. Najprzód uderzyła piękność rysów, odznaczająca się niezwykłą regularnością. Następnie zainteresowała osoba od razu jakąś tajemnicą otoczona. „Taki młody trudni się zmudną pracą strojenia. Dziwny stroiciel!“ napisała w dzienniku i postawiła wykrzyknik; chciała pisać dalej, lecz w tej chwili usłyszała głośne stąpanie po sali stroiciela, domagającego się w ten sposób, aby kto wyszedł i porozumiał się z nim we względzie fortepiana.

— Czy tak prędko wystroiłeś pan — zapytała wróciwszy do salonu.

— Spróbuj pani, mnie się zdaje, że będzie dobrze.

Anna usiadła do fortepiana i zagrała ustęp z jakiegoś szumnego mazura, skakającego po wszystkich klawiszach.

— Dobrze, bardzo dobrze, jak nowy, cieszę się i dziękuję panu.

— W takim razie pozostaje mi tylko pożegnać panią.

— Czekaj pan — zaraz herbata, zaraz brat z polowania nadejdzie.

— Pozostanę, lecz śmiem stawić warunek, abyś pani co grała.

— Lękasz się pan, ażeby go nie znudziło moje towarzystwo — odrzekła szyderczo — dobrze, jeźli tak, to postaram się choć muzyką go ubawić.

— Mylisz się pani... przeciwnie, czuję się niegodnym bezpośredniego jej towarzystwa i dlatego chciałbym, aby między nami znalazła się jakaś trzecia osoba; ponieważ zaś jej niema, niechaj więc muzyka brak ten zastąpi.

— Nie zrozumiałam pana — odrzekła ciekawie spoglądając na stroiciela, który od razu wykazał się jako człowiek świadomy względów towarzyskich.

Usiadła do fortepiana i zagrała jakąś polkę, następnie krakowiaka.

— Teraz na pana kolej — rzekła wstając od fortepiana.

— Stroiciele umieją grać tylko gamy i akordy potrzebne do wystrojenia fortepiana.

— O co się tyczy pana, to nie wierzę...

— Nawet i umiejętności gam pani we mnie nie przypuszczasz?

— Jakiś pan złośliwy, chwytasz pan mnie za słowa i opatrznie je tłumaczysz — będę się gniewać, chyba, chyba...

— Że?

— Że pan zagrasz co ładnego.

Klecki usiadł do fortepiana. Uderzył w akordy dla spróbowania jeszcze, czy dobrze fortepian wystroił. Przekonawszy się, że nic pod tym względem nie pozostawia do życzenia— po niejakiej pauzie zagrał jakąś fantazyę Liszta na temat religijny. Lękając się wszakże, aby młodą pannę nie znudzić nazbyt poważną muzyką klasycznego kompozytora, od Liszta stopniowo, w przejściach improwizowanych, zbliżył się do chorału narodowego. Od uroczystej jego harmonii, przeszedł do nut weselszych, zawsze improwizując. Zapał w grze coraz wzrastał, zamieniając ją w uroczą kompozycyę grającego, w której niby w różnobarwnej mozaice tonów, odzywały się nuty różnych śpiewów narodowych. Zaczął „Jeszcze Polska nie zginęła“, lecz nie skończył przeskakując nagle w ochoczego krakowiaka, następnie znów o smętną potrącił melodyę, z której odzywały się naprzemian ustępy z „Halki“ Moniuszki — „Nasze kwiatki“ i inne najsympatyczniejsze polskiemu uchu zwrotki, które razem splątał, lecz zespolił je, całości umiejąc nadać zaokrągloną harmonję..

— Graj pan, graj pan — rzekła zasłuchana Anna.

— Już skończyłem — odrzekł.

— Szkoda; pan grasz ślicznie, pan jesteś artystą.

— Pojmuję, że gra moja mogła się pani podobać, lecz to nie przypisuję talentowi, którego nie mam, lecz nucie raczej śpiewek, jakie w każdem polskiem sercu odgłos znaleść powinny.

W ten sposób wyrażają się patryoci; czekajmy, co dalej będzie — pomyślała, coraz bardziej interesując się niezwykłym stroicielem.

— Darujesz pan, że mu zadam pytanie, może trochę niedyskretne: czemu pan się trudnisz tak niewdzięczną pracą, jaką jest strojenie fortepianów?

— Niewdzięczną? i owszem. Opłaca mi się nie źle, po trzy i pięć rubli biorę od każdego wystrojenia.

— Ja nie o pieniądzach mówię, ale powiadam, że jest to praca machinalna, zabijająca, niegodna — dodała żywiej — wyższych umysłów.

— Do takich siebie wcale nie liczę.

— Zbytek skromności.

— Wreszcie — odrzekł — strojenie fortepianów uważam za fach dla mnie bardzo miły. Wszędzie mnie wzywają. Bywam równie w pałacach jak i w najuboższych domach. Cóż zaś ciekawszego być może nad przypatrywanie się życiu wszechstronnie w rozmaitych, a nieraz najsprzeczniejszych jego objawach.

— Znasz pan nasze miasto gubernialne?

— Rzec mogę, że lubo od kilku tygodni ledwie jestem w tych stronach, miałem jednak sposobność poznać je dobrze, bo mi się zdaje, że nie ma domu, w którym jest fortepian, dokądby mnie nie wzywano. Tak dalece zbywa na stroicielach, że ja prawie monopol posiadam.

— Byłeś pan u Jarnickich?

— Pierwszy dom arystokratyczny — odrzekł uśmiechając się — i tam parę razy byłem wezwany.

— Dla tego zapytuję, że panna Marya Jarnicka jest moją koleżanką i przyjaciółką; byłyśmy razem w Wilnie u Wizytek; prawda, że ślicznie gra; jak się panu ona podoba?

— Gra dobrze, lecz nic więcej.

— Jakto—a wykształcenie, a piękność? Wszakto pierwsza gwiazda w naszem gubernialnem mieście; cóżbyś pan miał jej do zarzucenia?

— O wykształceniu panny Maryi dałoby się dużo powiedzieć. Rozmaite zapatrywania się bywają w tym względzie.

— Mocno dziwi mię pańskie spostrzeżenie; od pierwszego pana słyszę taki zarzut, pierwszy pan wytykasz jej brak wykształcenia.

— Nie zarzucam jej braku wykształcenia bynajmniej, i owszem może bardzo oczytana, bardzo idealna, eteryczna, lecz ja mam inne wyobrażenie o sposobie niewieściego wychowania. Niestety żyjemy na ziemi nie w lazurach, cały

więc rozwój nasz umysłowy powinien się sposobić do praktycznego zastosowania.

— To podług pana nie wolno myślą ulatać tam wyżej, bliżej ojczyzny naszej duchowej, bliżej Boga.

Jan uśmiechnął się sarkastycznie.

— A rozumiem pański uśmiech, okropniejszej odpowiedzi dałbyś pan nie mógł. Takie zdania, jakie ja mam o rozkoszach duchowych i o potrzebie sięgania myślą w niebo, nie dadzą się obalić sposobem twierdzącym — używacie więc panowie sarkazmu; jest to broń najłatwiejsza, jestto nóż, którym tylko niszczyć można, lecz sarkazmem niczego się nie udowodni.

— Panna Marya — rzekł wpatrując się w Annę — wykarmiona Irydjonami, Letniemi nocami, Boskiemi i Nieboskiemi komedyami — jest może aniołem a nie kobietą. Całe jej istnienie, które pani tak bardzo uroczem nazywasz, wyobrażam sobie jako jedno przeciągłe ach... Niezawodnie— dodał z sarkazmem—kilka liber papieru spotrzebowała na dzienniki i różne pamiętniki, w których jak wyobrażam sobie, musi być wiele zaschłych kwiatków skropionych łzami także zaschłemi.

— Zkąd pan wiesz o tem?

— O czem?

— Że pisze dziennik.

— Domyślam się.

— A, to domysł tylko. Sądzę, iż to wszystko, coś pan wyrzekł, należy do samych tylko domysłów.

— Ślicznie dziękuję.

— Za co?

— Za łaskawe uznanie we mnie zmysłu domyślności, jest to przymiot nie mało ważny.

— Co za złośliwość! — Nasze zdania tak są krańcowe, że w dyspucie naszej nie dojdziemy do końca; ale ja zwracam się do mego pierwotnego pytania. To wszystko coś pan wyrzekł, nie stanowi jeszcze zadowalniającej odpowiedzi na moje pytanie, co go właściwie spowodowało obrać zawód stroiciela?

— Jeżeli to, com wyrzekł, nie zadowalnia pani, w takim razie wyznam, że w istocie fach ten kryje moją tajemnicę.

— Lękasz się pan, abym go nie zdradziła? — przerwała żywo.

— Nie... jeźli to panią może zająć, to i owszem.

— Bardzo proszę.

— Byłem właścicielem ziemskim w gubernii kowieńskiej; w przeszłym roku razem z innymi udałem się do powstania — ale...

Gdy tych słów domawiał, otworzyły się drzwi i wbiegła niemi duża wyżlica — a tuż za nią wszedł blondyn z dubeltówką na ramieniu, w lewej ręce trzymając zająca, z tryumfem do góry podniesionego.

— Słowo honoru szarak — od razu ani pisnął — psy tuż, tuż — Dyanka targnęła, gończe poczęły się gryźć ze sobą, ale ja harapnikiem. Jak się masz Anetko? A obiad czy zostawiono? Będzie pieczyste z tego zająca. Tam pięć szaraków podobno jest w lodowni, wiesz co Anetko, trzeba tego posłać Stanowemu. (D. c. n.)

KRONIKA.

Z kraju.

(W sprawie pomnika Juliusza Słowackiego). Artykuł nasz, umieszczony w I. zeszycie „STRZECHY“ przy pomniku J. Słowackiego, został nad wszelkie spodziewanie nasze mylnie zrozumiany. Upatrzono w nim najniesłuszniej coś ubliżającego matce ś. p. Słowackiego, i zażądano od nas sprostowania z pouczeniem, że zmarłemu wieszczowi zaraz po śmierci jego wzniesiony został pomnik za staraniem jego matki. Otóż w tem właśnie leży dowód niezrozumienia rzeczy. Nam niepotrzeba wcale tego pouczenia, gdyż wiedzieliśmy bardzo dobrze z zacytowanych w naszym artykule dzieł Małeckiego i Reitzenheima, że staraniem matki wzniesiony został pomnik Słowackiemu w jednym z kościołów krakowskich; ale nie wspominaliśmy o tem dlatego, bo nam chodziło tylko o pomnik znajdujący się na grobie wieszcza, i zarzut nasz odnosił się wyraźnie do narodu, który rzeczywiście okazał się zbyt obojętnym w obec tak wielkiej straty. Taką była myśl nasza, wcale jasno wypowiedziana, i dlatego dziwi nas bardzo, że jej niezrozumiano.

(Nowe stowarzyszenia). Rozwój życia konstytucyjnego w naszym kraju przybiera kierunek coraz praktyczniejszy, objawiający się głównie w zawiązywaniu rozmaitych stowarzyszeń, odpowiednich wymaganiom czasu i ludności. Między innemi powstały w najnowszych czasach dwa bardzo ważne i tem samem wielce pożądane stowarzyszenia, mianowicie: 1) Towarzystwo naukowo-literackie, mające na celu: a) Popieranie prac naukowyah i szerzenie zamiłowania do nauk i literatury ojczystej, i b) wzajemną pomoc stowarzyszonych tak moralną jak materyalną; a 2) Towarzystwo przyjaciół śpiewu, które zajmować się będzie nauką i pielęgnowaniem śpiewu tak choralnego jak i solowego. Statuta obudwu towarzystw są już potwierdzone i czynność ich wkrótce się rozpocznie.

(Pięćsetletnia rocznica statutów Wiślickich). Jak wykazał p. A. Z. Helcel w dziele swojem: „Starodawne prawa polskiego pomniki,“ przypada w roku bieżącym 500letnia rocznica ostatecznego uchwalenia i wprowadzenia w życie prac ustawodawczych Kazimierza Wielkiego powszechnym sta-

tutem Wiślickim w roku 1368. Z tego powodu powzięła lwowska Izba adwokatów na wniosek Dr. Ig. Czemeryńskiego zamiar uczczenia tej pamiątki narodowej uroczystym obchodem, mianowicie zjazdem prawników ziem polskich w Krakowie, gdzie spoczywają zwłoki króla prawodawcy. W tym celu wydano odezwę do izby adwokatów w Krakowie dla spólnego ułożenia programu uroczystości, naznaczując na ten obchód dzień 11. marca, jako rocznicę pierwszego zjazdu wiślickiego w r. 1247. Przy tej sposobności postanowiono także zająć się zawiązaniem Stowarzyszenia prawników.

(Lwowskie towarzystwo przyjaciół sztuk pięknych) ukonstytuowało się już stale na walnem zgromadzeniu, odbytem dnia 3. lutego. Wybrani zostali na trzy lata: prezesem Leszek Dunin Borkowski; zastępcą prezesa Dr. Rajski, adwokat; a dyrektorami pp. Juliusz Starkel radca szkolny, Fr. Tepa malarz, Karol Widman literat, Karol Maszkowski profesor i Reisinger dyrektor akademii technicznej.

(Powieść z dawnych czasów). Pod tym tytułem wyszła teraz z druku nakładem księgarza p. Karola Wilda, powieść jednotomowa z czasów panowania Zygmunta III. p. Maurycego hr. Dzieduszyckiego. Pierwszy to raz, jeźli się nie mylimy, wystąpił ten znakomity autor z podobną pracą, gdyż dotąd zajmował się głównie poważniejszemi pracami historycznemi. Zakrój naszego pisma nie jest tego rodzaju, byśmy mogli zapuszczać się w rozbiory dzieł; powiemy więc tylko pobieżnie, że powieść tę, bardzo szacowną pod względem etnograficzno-historycznym — możnaby słuszniej nazwać opowiadaniem, gdyż najwięcej mówi w niej sam autor — jako *laudator temporis acti* — a niekiedy tylko dopuszcza do słowa swoich bohaterów. Zresztą co do tendencyi tej powieści, wybitnie religijnej i przedstawiającej bardzo wiernie koloryt czasu, zrobilibyśmy tylko tę maleńką uwagę, że zbyt mało przebija się w niej zasada tolerancyi, która przecież najpiękniejszą jest cechą prawdziwie chrześciańskiej cywilizacyi.

(Album Żółkiewskie), wydane staraniem zasłużonego fotografa naszego p. Teodora Szajnoka, a z którego część dochodu przeznaczona jest na restauracyę pomników w klasztorze XX. Dominikanów we Lwowie, wyszło już w ozdobnej okładce utworu p. Fr. Tepy i jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Zdaje nam się, że nie potrzebujemy zalecać publiczności tego dzieła sztuki, gdyż przemawiają za niem dostatecznie i cel wydania i sama wartość drogich dla Polski pamiątek historycznych. Prócz tego zdjął p. Szajnok jeszcze 6 innych widoków, przedstawiających pamiątki żółkiewskie, które mogą być osobno nabyte, jako dodatek do wspomnionego albumu.

(Pan Forster), zachęcony dobrym przyjęciem przez publiczność pierwszych sześciu książeczek dla klas pracujących, wydanych z końcem roku zeszłego, ogłasza nowy prospekt i subskrypcyę na drugą seryę, obejmującą również sześć książeczek. W prospekcie powiada, że i przy drugiej seryi będzie mu przewodniczyć myśl wzniosła, ażeby przyczynić się do oświaty klas pracujących. Nowo zapowiedziana serya będzie zawierała następujące przedmioty w 6 książeczkach: Religia. — Potrzeba i ważność obowiązku. — Miłość prawdy. — Życie w rodzinie. — Do matek Polek. — Rady dla młodzieży. — O wychowaniu kobiet. — Miłość ojczyżny. — Stan moralny społeczeństwa.

(Pan Franciszek Tepa), sławny nasz akwarelista, którego słabość przez dłuższy czas zmuszała do bezczynności, wzbogaci wkrótce swoją tekę kilkoma świeżemi pracami, a mianowicie: portretem Karola Szajnochy, przeznaczonym na drzeworyt dla warszawskiego „Tygodnika ilustrowanego;“ portretem Artura Grottgera, i szkicem przedstawiającym zgon nieodżałowanego poety Mieczysława Romanowskiego w potyczce z Moskalami pod Józefowem, a przeznaczonym na drzeworyt do piątego zeszytu „STRZECHY.“ Miło nam też donieść o chlubnem uznaniu, jakie znachodzą utwory tego artysty za granicami naszego kraju; jak się dowiadujemy bowiem, otrzymał teraz p. Tepa z Londynu zamówienie sześciu akwarel, przedstawiających typy ludowe naszego kraju w guście tych, które były na wystawie paryzkiej; równocześnie zaś zgłosiło się do niego wiedeńskie Towarzystwo sztuk pięknych z chęcią nabycia kilku akwarel, znajdujących się na wystawie tamtejszej, z czego jednak nie może korzystać artysta, ponieważ te akwarele są już oddawna własnością jedynego w kraju naszym mecenasa i protektora sztuk pięknych, p. Włodzimierza hr. Dzieduszyckiego.

(Fundacya ś. p. Aleksandra hr. Stadnickiego, przeznaczona na drukowanie historycznych dokumentów, znajdujących się w archiwie ziemstw i grodów polskich (zwanem pospolicie bernardyńskiem), wejdzie już niebawem w życie, gdyż — jak się dowiadujemy — wyjdzie już z końcem lutego r. b. pierwszy tom tego wydawnictwa, obejmujący do 100 arkuszy druku. Będzie to materyał niezmiernie szacowny tak dla dziejów ojczystych w ogóle jak i dla historyi znakomitszych rodzin polskich w szczególności.

(Miesięcznego czasopisma: „Szkoły“), poświęconego sprawom szkół ludowych i średnich, tudzież seminaryów nauczycielskich, pod redakcyą p. Karola Maszkowskiego, wyszły już dwa zeszyty i odpowiadają tak doborem artykułów jak i dążnością najzupełniej swojemu przeznaczeniu. Gdy zaś mowa o szkole, nie od rzeczy będzie donieść przy tej sposobności o nowej ofierze obywatelskiej hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, który urządziwszy własnym kosztem znaczny zbiór książek, tyczących się spraw szkolnych, ofiarował go na użytek Rady szkolnej. Zaprawdę obywatelem, tak pojmującym stanowisko swoje w narodzie, może się poszczycić Polska cała.

(Nieznane dotąd dzieło Mickiewicza). Nakładem księgarni Luxemburgskiej w Paryżu wyszło niedawno francuskie tłumaczenie z rękopisu pozostałego po A. Mickiewiczu. Rękopis ten nigdzie dotąd niedrukowany a zawierający poszukiwania co do pierwotnych dziejów Polski, wydany został przez Władysława Mickiewicza pod tytułem: „Les premiers siècles de l'histoire de Pologne.“ Cała praca podzielona na trzy księgi, z których pierwsza poświęcona badaniom słowiańskich początków; druga obejmuje panowanie pierwszych Piastów; ostatnia zaś traktuje

o Polsce w podziałach i kończy się na Kazimierzu Sprawiedliwym. Wypada się spodziewać, że wydawca ogłosi ten rękopis także po polsku.

(Sztuka rzeźbiarska) ma dziś w Polsce kilku bardzo znakomitych reprezentantów. Pomiędzy innemi znanem jest dziś najzaszczytniej w świecie artystycznym imię p. Filipiego, który od dłuższego już czasu przeniósł pracownię swoją z Krakowa do Lwowa, i obecnie zajmuje się wyrobieniem popiersia zmarłego historyka K. Szajnochy. Niemniej chlubne stanowisko zajmuje teraz w tym rodzaju sztuki bawiący w Paryżu p. Marceli Gujski, który przez dłuższy czas odbywał studya swoje w Rzymie. Z najnowszych prac jego chwalą bardzo medalion księcia Leona Sapiehy, biust naturalnej wielkości hr. Andrzeja Zamojskiego i statuę Michała Anioła.

(Nekrologia polska). Początek roku bieżącego naznaczył się w Polsce kilkoma już bardzo bolesnemi dla nas stratami. Są one wprawdzie znane już krajowi z doniesień innych dzienników, mających korzystniejsze warunki czasowe niż nasze pismo; ale wypadków, obchodzących cały naród, nie godzi się pomijać milczeniem żadnemu pismu polskiemu, jeźli pragnie dostąpić zaszczytu służenia ojczyźnie. Do takich wypadków należy bez wątpienia także zgon wielkich i zacnych mężów, którzy zasługami położonemi dla ojczyzny zjednali sobie prawo do czci i pamięci całego narodu. I my też dopełniając tego acz bolesnego ale świętego obowiązku, zapisujemy tu w chronologicznym porządku główniejsze straty narodowe, poniesione na samym początku roku bieżącego. I tak zmarł: 1) Dnia 7. stycznia w Berlinie Mieczysław Waligórski, poseł z W. X. Poznańskiego na sejm pruski, redaktor „Dziennika Poznańskiego“ i spółwłaściciel księgarni nakładowej w Poznaniu, o której donosiliśmy już w poprzednim zeszycie STRZCHY, mąż rzadkich zdolności i wielkiego patryotyzmu, którego stratę uczuły bardzo boleśnie ziemie polskie pod zaborem pruskim. 2) Dnia 10. stycznia zgasł we Lwowie jeden z najsławniejszych pisarzy i uwielbiany w całej Polsce historyk, a przy tem mąż cnót prawdziwie katońskich, Karol Szajnocha, którego imię zapisało się po wieczne czasy w historyi naszego piśmiennictwa i w każdem sercu polskiem. 3) Na d. 12. stycznia zakończył życie w Paryżu jenerał Władysław Zamojski patryota i wojownik wielce zasłużony w walce narodu o niepodległość w r. 1830; a nakoniec 4) na dniu 15. Stycznia utraciła Polska jednego z najzacniejszych i najgorliwszych obrońców wiary swojej, ks. Benjamina Szymańskiego, biskupa dyecezyi podlaskiej, którego Moskwa po zwinięciu tej dyecezyi osadziła przymusowo na mieszkanie w Łomży.

Oto cztery najwźnioślejszych mogił, które świeżo usypała nieprzebłagana dłoń losu na wielkim cmentarzu narodowym! Każdej z nich należałoby się zapewnie osobne i obszerniejsze wspomnienie, niż ta pobieżna wzmianka kronikarska; ale ponieważ wyprzedzili nas już w tem inni koledzy nasi, więc zmuszeni jesteśmy przynajmniej w tej chwili poprzestać na tem krótkiem tylko wynurzeniu czci naszej cieniom tych zasłużonych mężów. Nieco dłużej tylko wypada nam zabawić przy grobie ukochanego naszego historyka Szajnochy, a to dla tego, ażeby oznajmić czytelnikom naszym, iż dla godnego uczczenia jego zasług i uwiecznienia pamięci w narodzie zawiązała się w kraju komisya w celu utworzenia funduszu, mającego pod zarządem Wydziału krajowego trwać na wieczne czasy pod nazwą: „Fundacyi ś. p. Karola Szajnochy“ na korzyść pozostałej po nim rodziny i literatury ojczystej. Odnoszącą się do tego odezwę do kraju podajemy w całości na zewnętrznej okładce niniejszego zeszytu; tu zaś dodajemy tylko, że czyniąc chętnie zadość wezwaniu komisyi przyjmujemy wszelkie na ten cel przeznaczone ofiary pieniężne, które każdego czasu u wydawcy STRZECHY, księgarza F. H. Richtera we Lwowie składane być mogą.

Ze świata.

(Ciekawe zjawisko meteorologiczne) Na dniu 30. stycznia r. b. między godziną 7. i 8. wieczorem widziano — jak się pokazuje z wielostronnych doniesień — w całej wschodnio-północnej Europie (mianowicie także we Lwowie, Krakowie, Poznaniu, Warszawie i Wilnie) osobliwsze i niewyjaśnione dotąd jeszcze zjawisko na niebie. Byłto rodzaj meteoru w kształcie wielkiej kuli ognistej, która przesunąwszy się z szybkością i jasnością błyskawicy po widokręgu, pękła w końcu z hukiem podobnym do wystrzału działowego i znikła. Byłoby wielce pożądanem, żeby mężowie nauki zajęli się dokładnem zbadaniem i wyjaśnieniem tego zjawiska, do którego zabobonność ludu przywiązuje już najstraszniejsze wróżby i domysły.

(Szkoły przemysłowe dla dziewcząt w Paryżu). Skrzętność cywilizacyi zachodniej, starającej się przysporzyć jak najwięcej rąk pracy i zużytkować w tym celu wszystkie siły fizyczne i moralne, potrafiła już i słabszą połowę rodzaju ludzkiego wciągnąć w swój wielki ruch przemysłowy, otwierając jej coraz obszerniejsze pole działania, odpowiednego jej siłom i zdolnościom. Najlepszym dowodem tego są zakładane teraz we Francyi szkoły przemysłowe dla dziewcząt. Tak między innemi istnieją już od dłuższego czasu w Paryżu dwa takie zakłady. Plan naukowy ich jest dwojaki. Najprzód ustanowiony jest kurs powszechny dla wszystkich uczennic, a obok niego istnieją osobne kursa fachowe, mające na celu szczegółowe przysposobienie ich do czynności kupieckich lub też do przemysłu technicznego. Kurs powszechny trwa trzy lata i obejmuje naukę języka franzuskiego, rachunków, historyi, geografii, głównych zarysów historyi naturalnej, fizyki, chemii i hygieny, tudzież kaligrafii, rysunków wszelkiego rodzaju i spiewu. W osobnych wydziałach handlowych uczą się dziewczęta prowadzenia ksiąg, kupieckiej rachunkowości i stylistyki, języka angielskiego, nieco wiadomości handlowych i rysunków wzorkowych. Z tą nauką teoretyczną łączy się praktyczna nauka szycia, modniarstwa, drzeworytnictwa i sztuka malowania na porcelanie. Dziewczęta wychodzące z tych szkół ze świadectwem dojrzałości zostają pod opieką komitetu dam, który czuwa nad dalszym ich losem i stara się o ich umieszczenie lub zatrudnienie. Oprócz tych szkół przemysłowych istnieje w Paryżu jeszcze osobna szkoła rysunków dla dziewcząt, gdzie uczą się codziennie rozmaitych rodzajów rysunku i malarstwa. Również dziewczęta, które chcą poświęcić się scenie lub wy-

kształcić w śpiewie, mają najlepszą sposobność do tego w osobnych zakładach. Kiedyż my zdobędziemy się na coś podobnego!

(Uroczystości pogrzebowe w Trypolidzie) są tak szczególne, że warto zaprawdę bliżej je opisać. Gdy umrze muzułmanin, krzyczą krewni jego i słudzy nieustannie: Ałła-hou! Ałła-hou! — wzywając tym sposobem wszystkie kobiéty i znajomych, ażeby spieszyli płakać i zawodzić nad zwłokami nieboszczyka. Każde z tych bierze wdowę lub niepocieszoną matkę na barki i wrzeszczy przez kilka minut, aż biedna matka lub wdowa, złamana boleścią i żalem, pada bez przytomności na ziemię. Poźniej sprowadzają pewną liczbę najętych płaczek, które otoczywszy trumnę, płaczą i krzyczą bez ustanku, rozdrapują sobie twarze aż do krwi i okazują żal okropny. Potem następuje czemprędzej pogrzeb, gdyż muzułmanie sądzą, że umarli cierpią, dopokąd nie zostaną pogrzebani. Ażeby przyspieszyć szczęście, którego zmarli używają w raju, wlewają konającemu łyżkę miodu do ust, czem uduszony prędzej umiera. Gdy umrze niewiasta, kładną na jej trumnie najpiękniejsze suknie, jakie posiadała. U głowy mężczyzny składają jego turban, ozdobiony wedle majątku i znaczenia nieboszczyka. Nad turbanem umieszczają wielki bukiet z kwiatów. Trumnę niosą najblizsi krewni, a po drodze zmieniają się często przyjaciele zmarłego, przez co nieraz zupełnie wywracają trupa w trumnie. Przez cały czas żałoby nie uprzątują pomieszkania zmarłego; nie widać ani firanek, ani zwierciadeł, ani dywanów. Niewolnicy noszą czapki na wywrót i nie mogą mieć na sobie żadnej ozdoby. Kobiéty farbują sobie ręce i nogi alkaną. Wdowy zamożniejsze noszą białe wstążki zamiast czarnych i przez czas żałoby nie stroją się ani w złoto ani w brylanty.

(Człowiek-Mucha.) W Warszawie produkował się temi czasy niejaki p. H. Thure, nadzwyczajnie zręczny ekwilibrysta, zwany człowiekiem-muchą dlatego, iż chodzi po suficie. Dzienniki warszawskie podają następujące opisanie tej produkcyi: Do sufitu sali przytwierdzono deskę 10—12 łokci długości, której powierzchnia gładko wypoliterowana błyszczała jak źwierciadło. Po obu końcach tej deski porobione są siedzenia w kształcie dwóch schodków, gdzie sztukmistrz siada dla odpoczynku lub przysposobienia się do tej przechadzki powietrznej. Przy jednem z tych siedzeń urządzony jest trapez, to jest drążek zawieszony na dwóch linkach. Na ten drążek zarzuca p. Thure długą linkę, u jednego końca robi petlicę, którą zakłada sobie na szyję z tyłu głowy, a drugi koniec pochwyciwszy w silne dłonie sam wciąga się aż pod sufit, gdzie ze zwinnością bardzo biegłego gimnastyka dostaje się na siedzenie, i ztamtąd spuściwszy sznurek wyciąga podaną sobie z dołu skrzynkę blaszaną dość sporą, zawierającą przyrząd potrzebny do chodzenia po suficie. Przyrządem tym są ciżmy skórzane, osadzone w okrągłych talerzach metalowych czy gutaperkowych (czarnych błyszczących), wysmarowanych widocznie jakąś lepką masą; i tak przysposobiony—wywróciwszy kozła—przyczepia nogi do deski i z głową i rękami spuszczonemi na dół śmiałym krokiem sunie przez całą długość deski, nieodejmując wszakże nóg, tylko je po gładkiej posuwając powierzchni. Na drugim odpoczynku obciągnąwszy masą, znowu podaną sobie, spody swych przyrządów, wraca tąż samą drogą i tym samym sposobem.

(Zasypane miasto starożytne). Pisma włoskie donoszą, że na wyspie Sycylii odkryto pod Castranuova, na wzgórzach Coffera, zasypane miasto starożytne, którego plan zdejmuje teraz dyrektor muzeum archeologicznego, profesor Cavallara.

ZAPISKI Z BIBLIOGRAFII POLSKIEJ Z ROKU 1867.

Statut Towarzystwa dostarczania potrzeb domowych we Lwowie 1867
Najazd czeskiemi szlaki 1866. Lwów 1867.
Biblioteka Władysława Mickiewicza. Paryż 1867.:
Goszczyński. Zamek Kaniowski.
Zaleski. Duch od stepu.
Lenartowicz. Bitwa Racławicka.
Mickiewicz A. Wiersze różne.
Kołłątaj. O ustanowieniu i upadku konstytucji 3. Maja.
Kantyczki.
Malczewski. Marja.
Kochanowski. Psałterz Dawidów.
Kochanowski. M. Rotuły.
Rozdział do księgi przysłów. Kijów 1867.
Niemcewicz. Horacy: Ody, satyry, listy. Lipsk 1867.
Dualizm. Lwów 1867. Brosz.
Pomorzanin. Pogląd na sprawy obecne. Kraków 1867.
Lubowski. Co się stało w miasteczku. Warszawa 1667.
Szkoła polska 1865—6. Paryż 1867.
Schmaler. Slav. Ortsnamen in Oberlausitz. Bautzen 1867.
Muchliński. Listy Wład. IV do Krz. Radziw. Lwów 1867. (Wyd. Igel.)
Czartoryski Wład. Mowa na posiedzeniu Tow. lit.histor. Paryż 1867.
Sprawozdanie Towarzystwa liter.-historycznego. Paryż 1867.
Pogląd na sprawę polską. Lipsk 1867.
Janowski. List otwarty do Towarz. demokratycznego. Lipsk 1867.
Zef. Prawa korony czeskiej. Zuryk 1867.
Stebik. Wspomnienie z podróży do Włoch. Wrocław 1867.
Merzbach. Deux discours maçonniques. Bruksela 1867.
Szujski. Literatura św. niechrześc. Kraków 1867. Wyd. Trzec.
Koźmian A. E. Pamiętniki 2 tomy. Poznań 1867.
Lewestam. Historya literatury polskiej. Warszawa 1867.
Gordon. Podróż do Nowego Orleanu. Lipsk 1867. Brockhaus.
Kraszewski. Panie kochanku. Komedya. Poznań 1867.
Michna. Geografia powszechna. Kraków 1867.
Gątkowski. Dzieje księstwa Oświecimskiego. Lwów 1867.
Verwaltung und Reformen im Königreiche Polen. Berlin 1867.
Pamiątka dla rodzin polskich. 1 tom. Kraków 1867.
Labouley. Paryż w Ameryce. Lwów 1867.
Szujski. Dramata. I. Kraków 1867.
Rycharski. Literatura polska I. Kraków 1867.
Liske. Studja dziejów w XVI wieku. Poznań 1867.
Lewestam. Kurs publiczny literatury polskiej w XIX w. Warsz. 1867.
Pütz. Historya wschodnia (tł. Niedzielski). Lwów 1867.
Mierosławski. Historya powstania 1830. IV. Paryż 1867.
Klaczko. Kongres słowiański. Kraków 1867.
Bałucki. Kobiety Słowackiego. Kraków 1867.

Wydawca i nakładca: F. H. Richter. Redaktor odpowiedzialny: Fr. Waligórski. Z drukarni narodowej W. Manieckiego.

Nadzwyczajny dodatek do 3go zeszytu „Strzechy".

Gdybyśmy na chwilę kraj nasz zamienić mogli w jedną rozległą płaszczyznę, i nadprzyrodzoną opatrzeni siłą, wzniosłszy się nad tę płaszczyznę wzrokiem orlim od końca do końca przejrzyć ją mogli, ujrzelibyśmy kraj nasz zasłany mogiłami, wałami, grobowcami, świątyniami i zwaliskami odwiecznych zamków i grodów. Widok ten podwójne w nas obudziłby uczucie: pierwszym byłoby uczucie szlachetnej dumy, bo zaiste musiał to być naród dzielny i waleczny, który ziemię swoją zasłał tylu mogiłami; musiał to być naród mocno przejęty zasadami świętej wiary, kiedy tak liczne i najczęściej wspaniałe wzniósł przybytki Bogu; musiał to być naród silnie do swojej ziemi i swobód przywiązany, kiedy dla ich obrony stawiał te zamki dziś jeszcze ogromem swych zwalisk zdumiewające. Ale niestety to uczucie szlachetnej dumy ustąpić nieraz musi przed uczuciem żalu na widok tego zaniedbania i tej zimnej obojętności, która jakoby cecha bieżącego stulecia na każdym niemal pomniku piętno swoje wyciska. Rzekłbyś niekiedy, że przodkowie nasi na to sypali mogiły, żebyśmy je dziś rozorywali, na to wspaniałe wznieśli świątynie, żebyśmy je dziś obracali na składy różnego rupiecia; na to zamki stawiali, abyśmy z ich materyałów klecili gorzelnie i browary. — Coraz więcej usuwają się z oczu naszych zabytki naszej przeszłości: niszczy je czas i gorszy częstokroć wróg, nasza własna obojętność, a niekiedy i chciwość. W podobnej to poniewierce pozostają zabytki, któremi cała ziemia nasza zasiana, powiadamy cała ziemia, boć to już dziesięć wieków dobiegło, jak naród polski wystąpił na widownię dziejów. To tak długie życie musiało koniecznie po sobie pozostawić ślady nie tylko na kartach pisanych ale i na powierzchni zamieszkałej przez niego ziemi. Jakoż każdy wiek pozostawił po sobie jakiś zabytek, jakąś miłą pamiątkę, tém droższą dla serc naszych, im do odleglejszych czasów należy. Mimo to jak powiedzieliśmy wyżej, zabytki nasze po większej części znajdują się w najokropniejszej poniewierce; gdzie spojrzysz wszystko woła naprawy, lub restauracyi w stanie pierwotnym i kapitał ruiny z każdym dniem rośnie, kiedy przy szczerém dbaniu o te zabytki można by go prędko umorzyć. Zdaje się, że wstępujemy już w tę erę konserwacyi; zdaje się, że coraz więcej zaczynamy się pozbywać tej nagannej obojętności na te skarby, które nam przeszłość przekazała, w kilku bowiem miejscach Galicyi poruszono energicznie sprawę restauracyi pamiątek narodowych, a przed kilku dopiero miesiącami bo na dniu 12. Września r. z. obchodziliśmy już nawet uroczystość poświęcenia kilku podobnych pamiątek, znajdujących się w farze Żółkiewskiej, a świeżo ochronionych od poniewierki i ocalonych od zupełnego zniszczenia wytrwałem i usilnem staraniem ks. proboszcza i opata żółkiewskiego J. Nowakowskiego.

Na pamiątkę obchodu uroczystości poświęcania tego powziął właściciel podpisanego zakładu myśl wydania

„ALBUMU ŻÓŁKIEWSKIEGO"

które oprócz swej historyczno-artystycznej i archeologicznej wartości, jest i pozostanie na zawsze pożądaną dla każdego Polaka pamiątką dnia 12 września r. z. w którym to dniu tak wymownie mieszkańcy Galicyi jedną z największych narodowych rocznic uczcili. Album to składa się z fotografii 1) fary żółkiewskiej zbudowanej w rynku, na wzgórzu, nasutym rękami jeńców bisurmańskich w r. 1604 przez Stanisława Żółkiewskiego hetmana, poległego w wojnie z Turkami, w bitwie pod Cecorą w r. 1620 i Jana Żółkiewskiego, starosty hrubieszewskiego, syna pierwszego, zmarłego w skutek odniesionych ran pod Cecorą w r. 1623 u spodu z podpisem Exoriare aliquis nostris ex ossibus ultor: (Niech mściciel z kości naszych powstanie 3) pomnika Jakóba Sobieskiego, kasztelana krakowskiego, ojca króla Jana III. († 1646) 4) zamku królewskiego tej ulubionej siedziby króla Jana III. rozsypującego się dziś w gruzy. 5) bramy prowadzącej do ruin zamkowych — nad którą jest z marmuru wyrzeźbiony herb (Lubicz) a po drugiej stronie napis objaśniający datę zbudowania zamku. 6) bramy zamykającej miasto od zachodu i winietki, ułożonej i rysowanej przez zaszczytnie znanego artystę-malarza p. Franciszka Tepę.

Znaczna część dochodów z rozsprzedaży tego albumu przeznaczona została przez właściciela podpisanego zakładu, na prośbę p. Stanisława Kunasiewicza doktoranda praw i członka „Wydziału" lwowskiego Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych na restauracyę pomników wydobytych z katakomb kościoła Bożego Ciała OO. Dominikanów we Lwowie, by jak się wyraża Antoni Schneider w broszurze p. n. „Pomniki w katakombach pod kościołem Bożego Ciała OO. Dominikanów we Lwowie" na str 9. i feiletonista Dziennika poznańskiego w N. 228. z dnia 4. Października 1867 r. poruszona przez tegoż Stanisława Kunasiewicza i i tak szczęśliwie podjęta myśl restauracyi tychże urzeczywistnioną została, *) a więc również na uratowanie z poniewierki pamiątek nie tylko ważnych ze względu spuścizny przeszłości, ale i nieocenionych dzieł sztuki, będących najwymowniejszém świadectwem, iż epoka tych zbrojnych mężów, których zwłoki te pomniki kryją, nie jaśniała jedynie orężem i świetnością czynów, ale też godném i wysoko wyrobioném zamiłowaniem dla utworów artyzmu. Nie pozbywał się tu szczęśliwy haeres lekkim datkiem obowiązku spadkobierstwa, lecz wznosiła je ręka, wypłacająca godnie i hojnie dług wdzięcznej czci dla popiołów ojcowskich. Jest

bowiem niewątpliwem, iż pomniki te są dziełem dłuta włoskiego, i zabytkiem wczesnej i najświetniejszej epoki renesansu, gdy panował jeszcze czysty i piękny jego styl. Ztąd nieoceniona ich wartość, i pod tym względem są one rzeczywiście rzadkim skarbem w kraju. Prócz zabytku świetnego stylu, niemniej wysoko stoją pomysłem niezwykłym, jako i mistrzostwem dłuta. I nieocenione te skarby przeszłości, znajdują się w stanie, jak gdyby naród, któremu się kiedyś wysługiwali ci zacni mężowie zniknął zupełnie z powierzchni kuli ziemskiej. Nie tyle im pleśń i kurz zaszkodziły, ile niecna niepamięć potomności!

Właściciel podpisanego zakładu, podczas pobytu swego w Żółkwi nie ograniczył się jednakże tylko na zdjęciu tych sześciu fotografii, z których składa się „album żółkiewskie“ lecz oprócz tych zdjął jeszcze fotografię 1) pomnika żony i córki Stanisława Żółkiewskiego t. j. Reginy z Herburtów Żółkiewskiej, żony Hetmańskiej (1624 †) i córki tychże Zofii Daniłowiczowej, babki po matce Jana III († 1634) żony Jana Daniłowicza wojewody ruskiego, z podpisem u spodu położonym przez króla Jana z księgi Judith 16. 20.: „Vae genti insurgenti contra genus meum — Dominus enim omnipotens vindicabit in eis“ 2) pomnika Stanisława Daniłowicza, szwagra króla, zmarłego w niewoli tatarskiej r. 1636 wystawionego przez króla Jana III 3) kaplicy po lewej stronie nawy kościoła, z obrazem Matki Boskiej, karmiącej Pana Jezusa pędzla sławnego Karola Dolce, znajdującego się w ołtarzu tej kaplicy 4) wnętrza całego kościoła, zbudowanego w kształcie regularnego krzyża, z okazałą pośrodku 56 łokci wysoką kopułą w stylu renesansowym 5) głównego ołtarza samego, 6) wnętrza 56 łokci wysokiej kopuły, a czyniąc zadosyć żądaniom znawców i naleganiom miłośników zabytków, skłonił się do wydania „suplementu“ do albumu żółkiewskiego, składającego się z powyższych sześciu fotografii. Cena tak albumu, jako też suplementu większego $\frac{13}{18}$ calow. 12 złr. w. a. zaś mniejszego $\frac{9}{13}$ calow. 7 złr. w. a. Kupujący album wraz z suplementem otrzymają **bezpłatnie jako premię,** **dużą fotografię, zdjętą z rzeźby dotychczas zupełnie nieznanej, a wyobrażającej króla Jana III tratującego Turków. Podpisany zakład, którego dawniejsze wydawnictwa jak np. album A Grotgiera: „Wieczory zimowe“ i F, Tepy: „Sybir“ jak najpochlebniejsze ocenienie dziennikarskie uzyskały, i o którego terazniejszym wydawnictwie t. j. o „albumie żółkiewskiem“ Gazeta narodowa z dnia 19 Października 1867 r. tak się wyraża. „Jeżeli same te pamiątki drogiemi są każdemu ziomkowi, to samo album będzie najcelniejszym utworem polskiej fotografii i będzie mogło iść o lepsze z najcelniejszymi fotografiami zagranicy pod względem artystycznego uchwycenia widoków, trafności tonu i delikatności wykonania. Widoki zamku i obu bram zdają się być nie mechanicznemi kopiami rzeczywistości, ale płodami znakomitego pejzażysty, z tak stosownych punktów i w pomyślnej porze światła są ujęte i tak pięknie wykonane“** jest dostateczną rękojmią, że i suplement zdejmowany przez samego właściciela podpisanego zakładu również pod względem elegancji i wykończenia nic do życzenia nie pozostawi.

Przychylając się do prośby p. Stanisława Kunasiewicza, starającego się usilnie o zebranie funduszów potrzebnych na restaurację pomników dominikańskich, przeznacza zakład z rozsprzedaży suplementu tę samą znaczną część dochodu, co i z rozsprzedaży albumu, na rzecz restauracji, a jeżeli niema już dziś rodzin którychby dominikańskie nagrobki wprost obchodziły, jeżeli są ale nie tak zamożne, aby restaurację podjąć mogły, nie pozostaje nic, jak ofiara prywatnych osób, i z tej też przyczyny, jak niemniej z przyczyn powyżej wymienionych podpisany zakład żywi niepłonną nadzieję, iż tak album same jakoteż suplement, te wiązanki fotografii, obznajamiających nas drogiemi każdemu Polakowi pamiątkami w Żółkwi znajdą miejsce na stoliku w każdym domie polskim.

Może w najniefortunniejszą porę, w chwili, gdzie umysł każdy zaprzątnięty wielką myślą budowania przyszłości odważamy się odezwać z słowem przypomnienia sprawy restauracji tych pomników, lecz smutno byłoby, gdy w sercach tak przepełnionych poświęceniem i miłością dla kraju, głos przeszłości nie znalazł miejsca.!

Wszak z poniewierką tych popiołów ojcowskich, szła i poniewierka synów!! Wątpliwy plon ze skiby zaoranego grobu rodzicielskiego!!!

*) Czytelników „Strzechy“ chcących się dowiedzieć bliższych i dokładniejszych wiadomości o tych pomnikach odsyłamy do broszury wydanej staraniem Stanisława Kunasiewicza, a nakładem J. Sermaka p. t. „pomniki w katakombach pod kościołem Bożego Ciała OO. Dominikanów we Lwowie — historycznie opisał A. Schneider — a pod względem sztuki ocenił Wilhelm Leopolski — z dołączonemi 3 rycinami.“ Lwów 1867.

Teodor Szajnok,
właściciel zakładu fotograficznego we Lwowie.

Główny skład tego albumu znajduje się w księgarni **F. H. Richtera**, w Ajencji dzienników A. J. Piątkowskiego i w podpisanym zakładzie fotograficznym we Lwowie. — W innych zaś miastach Galicyi i Wielk. księztwa Poznańskiego nabywać można rzeczone albumy po wszystkich księgarniach i we wszystkich redakcjach.

Z Drukarni Narodowej W. Manieckiego. 1868.